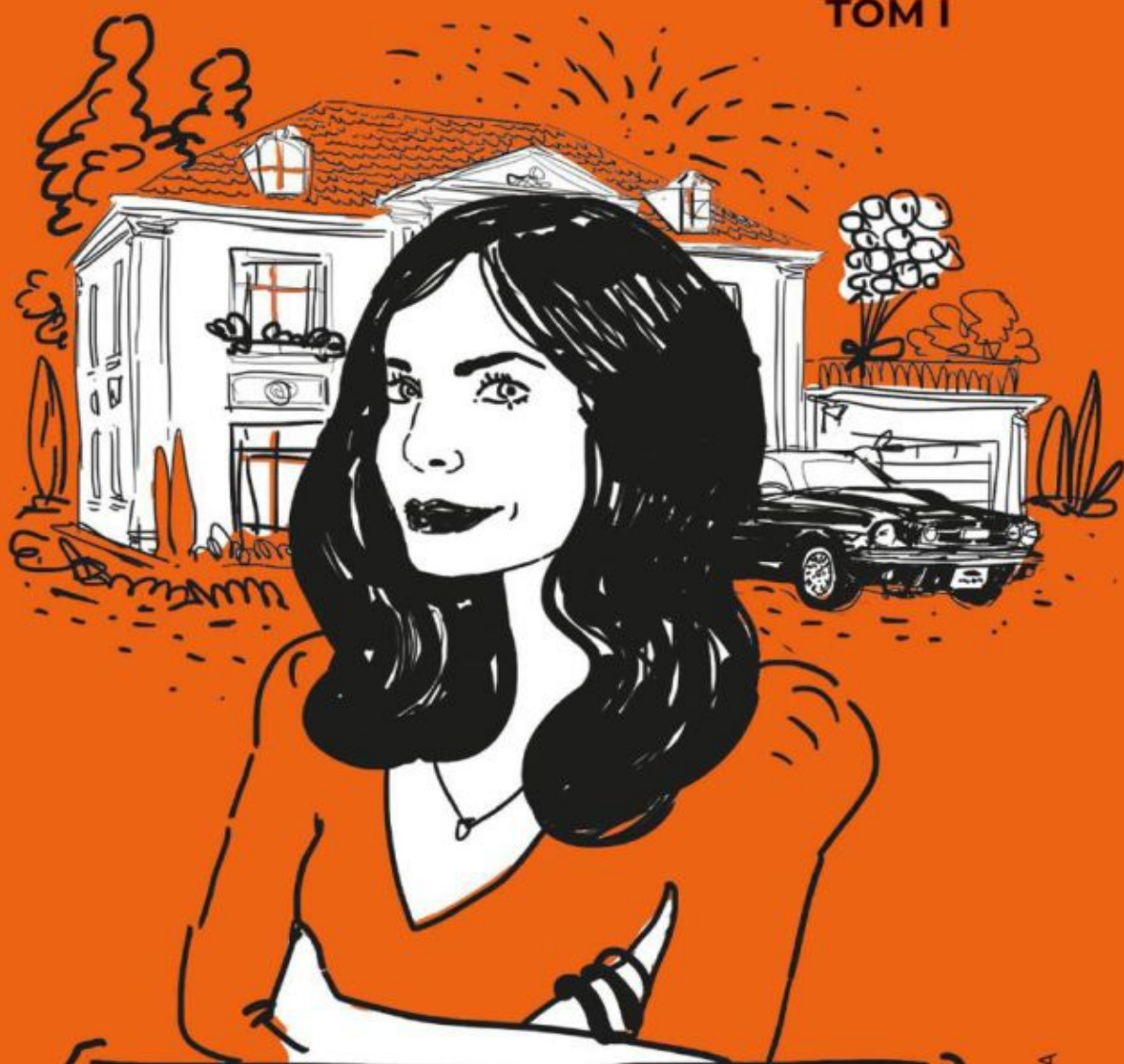


MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

TOM I



**Mężczyzna, który
zjadł orzeszki**

MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

**Mężczyzna, który
zjadł orzeszki**

TOM I

Projekt graficzny okładki
Porysunki / Magda Danaj

Redaktor prowadząca
Monika Koch

Redakcja
Berenika Wilczyńska

Korekta
Elżbieta Łanik
Teresa Zielińska

Copyright © by Marta Guzowska i Leszek Talko, 2022
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN 978-83-8032-797-9



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Konwersja: eLitera s.c.

odwiedź nas na



Spis treści

Karta tytułowa

Strona redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 1

– Lucja Słotka – powiedziałam do chromowanej kratki, nad którą wisiała kulista kamera marki Siedle. Po cholere tu komuś siedle za siedem tysięcy?

Podziwiałam to cudo, czekając, aż ktoś z drugiej strony domofonu wreszcie się zdecyduje i wciśnie przycisk otwierający bramę z kutego żelaza. Swoją drogą, koszt samej bramy uzasadniał cenę nieprzyzwoicie drogiej kamery.

Brama drgnęła i zaczęła się powoli otwierać. Wcisnęłam gaz i mój ford mustang potoczył się alejką wysadzaną topolami. Przejechałam sto metrów i znalazłam się na podjeździe przed Dumą Warmii. Jakiś architekt nieźle poszalał. Rezydencja składała się z betonu i ze szkła, tak jakby autor nie mógł się zdecydować, czego ma być więcej. Wygrało chyba szkło. Zresztą nieskazitelnie czyste. Ciekawe, kto to wszystko myje.

Wjechałam na okrągły podjazd i wcisnęłam hamulec. Wsiadłam z samochodu, przeciągnęłam się i wyjęłam papierosa.

Podwójne szklane drzwi rozsunęły się, wypluwając poważnego młodego człowieka w ciemnym garniturze. Młodzieniec najpierw spojrzał na mnie z potępieniem, a potem już tylko na moje nogi, tym razem z aprobatą.

Zapaliłam papierosa.

– Tu się nie pali. I podjeżdża się od zaplecza – powiedział.

– No to szkoda, bo ja palę i zajechałam od frontu. – Patrząc mu prosto w oczy, zaciągnęłam się papierosem.

– Ale... – bąknął.

– Nie znoszę tego słowa. „Ale”. Wszystko, co następuje po „ale”, jest straszne. Chyba że brzmiałoby: „Ale pomogę z bagażami”.

Spojrzałam na niego wyczekująco.

Mruknął coś pod nosem i ruszył do bagażnika. Po drodze jeszcze raz zlustrował moje nogi.

Miałam tu spędzić najbliższy miesiąc i już mi się podobało.

Tadeusz Walenty był człowiekiem, który uwielbiał celebrację. Niewątpliwie zrobiłby wielką karierę jako mistrz ceremonii lub magik iluzjonista. Z jakiegoś niejasnego powodu wybrał jednak zawód producenta telewizyjnego. Ale swoją rolę grał mistrzowsko.

Siedziałam w przepastnym fotelu, który, jak zdążyłam się już dowiedzieć, został wykonany na specjalne zamówienie w Reims i obity tkaniną wyprodukowaną zgodnie z osiemnastowieczną niderlandzką technologią, bez żadnych kompromisów. Cena fotela sugerowała, że zrobiono go ze złotych samorodków i z piór peruwiańskich kolibrów.

– Bez żadnych kompromisów – powtórzył Walenty po raz siódmy, a przecież rozmawialiśmy dopiero dwie minuty.

Zachęcająco postukał w butelkę.

– Osiemnastoletnia highland park. Single malt bez żadnych kompromisów. No to zdrowie!

Tadeusz Walenty mógłby być całkiem przystojny, gdyby nie był aż tak przerysowany. Wszystkiego miał za dużo. Za dużo kratek na marynarce – byłam gotowa się założyć, że uszył ją słynny londyński krawiec – bez żadnych kompromisów. Zbyt obcisłe skórzane spodnie – zapewne ze

skóry okapi. Ich zakładanie i zdejmowanie musiało być prawdziwą torturą i na pewno wiązało się z całą masą kompromisów. Za to bez kompromisów z pewnością obyło się przy szyciu. Okulary w zbyt kolorowej oprawie wołały, że są wykonane na zamówienie – bez ani jednego kompromisu. Cały zaś Tadeusz Walenty, lat sześćdziesiąt, zdawał się mówić, że czuje się, bez żadnego kompromisu, najwyżej na trzydzieści, a może nawet na osiemnaście.

– Zdecydowaliśmy się panią zatrudnić, bo powiedziano nam, że pracuje pani bez jakichkolwiek kompromisów – kontynuował Walenty.

Skupiłam się na whisky. Pijałam już lepsze, ale wyznawałam zasadę, że darowanej osiemnastoletniej whisky nie zagląda się w zęby. Walentemu dość dobrze szła rozmowa z samym sobą, mój udział był w zasadzie zbędny.

– Ja i moja żona Zofia Montegabbione... – perorował. – O, właśnie jest. Zosiu, poznaj naszą nową ochmistrzynię...

– Home Disaster Manager – przerwałam.

– Słucham?

– Jak wspominałam w rozmowie telefonicznej, jestem Home Disaster Manager. – Wyjęłam z kieszeni wizytówkę, na której było to napisane jak byk, i położyłam na stoliku obok karafki. – Nie ochmistrzynią, nie służącą, nie prowadzącą dom. Home Disaster Manager. A pan powiedział, że to się świetnie składa, bo nadciąga katastrofa.

– A tak, tak. – Walenty dopił duszkiem whisky. – Ale to za chwilę. Zosiu, może ty wyjaśnisz naszej nowej Home Disaster Manager... To się jakoś skraca?

– Lucja.

– Łucja, śliczne imię, na pewno się polubimy –

rozanieliła się Zofia i chwyciła mnie w objęcia.

– Lucja. Przez L. Jak... Jak Lukrecja.

Bo tak naprawdę brzmiało moje imię. Tata się uparł. Ale przecież nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Skrzywiłam się, bo gospodyni nadal trzymała mnie w uścisku, a jej długie włosy uniemożliwiały mi oddychanie. Na ile zdążyłam się przyjrzeć, żona doskonale pasowała do męża. Z daleka sprawiała wrażenie wesołej licealistki. Z bliska licealistka okazywała się trochę starsza, tak mniej więcej o trzydzieści pięć lat.

– Posłuchaj, kochana, na pewno ci się spodoba. Tadzio jak zwykle przesadza, nie czeka nas żadna katastrofa. Po prostu mój mąż obchodzi okrągłe sześćdziesiąte urodziny, zaprosiliśmy kilkoro znajomych i chcemy, żeby się doskonale bawili, a słyszeliśmy od kilku znanych osób, że możesz służyć pomocą w takich... nietypowych sytuacjach.

– Nie będą się doskonale bawić, jeśli Bromba nie dostanie swojego wiejskiego chlebka – mruknął Walenty scenicznym szeptem.

– Prosiłam cię, żebyś tak o niej nie mówił. – Zofia uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Pani Faustyna Jelonek, na pewno ją, kochana, znasz, po prostu lubi domową wiejską atmosferę.

Skinęłam głową. Oczywiście trudno było nie słyszeć o Faustynie Jelonek, która trzęsła kilkoma stacjami telewizyjnymi od czterdziestu lat, choć złośliwi twierdzili, że od momentu wynalezienia telewizji. O jej humorach krążyły legendy.

– Otóż Faustyna, oczywiście, kochanie, musisz do niej mówić „pani prezes Jelonek”, ona po prostu przepada za wiejską aurą. I dlatego do nas zagląda. Lubi zapach świeżo

pieczonych bochenków wyjmowanych z glinianego pieca.

– To są koszty – wtrącił Walenty. – Piec zrobiłem bez kompromisów. Trzydzieści tysięcy złotych.

– To logiczne, gdzie indziej miałyby wpadać, pragnąc sielskości i wsi – powiedziałam i omiotłam salon spojrzeniem. Marmurowe płyty na podłodze, kilka drogich abstrakcji, jedna ściana w całości ze szkła i olbrzymi kandelabr z kryształów zwieszający się z sufitu. Być może tak właśnie Faustyna Jelonek wyobrażała sobie wiejską chatę. Z wystrojem kłócił się tylko olejny portret jakichś ułanów na koniach.

– Nasza kochana gospodyni, Marysia, niestety nie może przygotować wiejskich przysmaków – westchnęła Zofia. – Naprawdę straszne nieszczęście, wypadek samochodowy, cała jest połamana.

– Straszne – przyznałam.

– Cieszę się, że rozumie pani sytuację. – Tadeusz skinął głową. – Zostaliśmy po prostu sami na łasce losu. Marysia skrajnie nieodpowiedzialnie weszła na jezdnię. Co prawda na pasach, ale zawsze jej powtarzałem, żeby najpierw się rozejrzała. No i postawiła nas w bardzo niezręcznej sytuacji. To są koszty, pieniądze nie rosną na drzewach. A tymczasem Bromba, to jest pani prezes Jelonek, przyjeżdża jutro i oczekuje, że zostanie powitana wiejskim chlebem, swojską kiełbasą, mlekiem prosto od krowy, domowymi ziemniakami ze skwarkami i tak dalej. Oszaleć można. Czy pani wie, że jak ona przyjeżdża, to ja muszę pić okowitę? I musiałem wybudować za domem wiejską zagrodę specjalnie dla niej i ściągnąć przez pół Polski autentyczną wiejską chatę. A to przecież są koszty. I jeszcze wciąż muszę powtarzać, że ta chałupa i tak tu

wcześniej stała pusta i Bromba może sobie wpadać, kiedy chce, bo po co chata ma się marnować. Proszę pani, ja ją kupiłem za sto tysięcy, a za trzy razy tyle wyremontowałem. Koło Przemyśla ją znalazłem, żeby pani prezes Jelonek mogła tu okowitę popijać i zachwycać się prostym życiem bez pieniędzy. A, proszę pani, proste życie to są ogromne koszty. Jednym słowem, oczekuję, żeby pani podjęła ją tym wszystkim. Ma stąd wyjechać zachwycona. Bez kompromisów.

– Tadzio przesadza. – Zofia się uśmiechnęła. – Ale tylko trochę. To dla nas naprawdę ważne. Aha, jeszcze jedna mała prośba. Otóż pani prezes Jelonek z pewnych względów nie darzy sympatią pana Henryka Maciąga, tego krytyka filmowego, który również będzie u nas gościł.

– Nienawidzi go jak psa – mruknął Walenty i dolał sobie whisky.

– Powiedzmy, że ich spotkanie mogłoby być... wybuchowe. Dobrze więc, żeby się nie spotkali.

– Przez trzy dni? – zapytałam.

– Przez trzy dni. – Zofia skinęła głową.

– I to już wszystko?

– Tak, prawie. – Zofia zamilkła na chwilę. – I jeszcze pan Maciąg z pewnością nie byłby zachwycony, gdyby natknął się na panią Sonię Weles, tę aktorkę. Kiedyś oblała go śmierdzącą ciecżą, co spowodowało pewną niezręczność towarzyską...

– Obiecał, że jak ją znowu spotka, zrobi to samo, co ona na pewno zrozumie jako feministka i zwolenniczka równego traktowania kobiet i mężczyzn – dodał Walenty.

– I to już wszystko? – zapytałam. Byłam przyzwyczajona do niezwykłych wymagań klientów. Ogromna gaża, jaką

inkasowałam za takie zlecenia, rekompensowała mi takie niedogodności.

– Oczywiście chcielibyśmy, żeby wszyscy goście spotkali się na urodzinowej kolacji Tadzia – dodała Zofia.

– Pani Jelonek, pan Maciąg, pani Weles – upewniłam się. – Mimo że się nienawidzą?

– Cieszymy się, że jakoś to załatwisz – uradowała się Zofia. – Tylko musisz pamiętać, kochana, że pani prezes Jelonek nie tknie ciecierzycy, pan Maciąg nie jada wołowiny, bo uważa, że to nieekologiczne dla planety czy coś takiego...

– Skąd pani to wie? – zaciekało mnie.

– Moja droga. – Popatrzyła na mnie z lekką wyższością. – W tej branży wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. W każdym razie pan Maciąg jest na bakier z wołowiną, chociaż jego partner, pan Lewy, bardzo chętnie jada zraziki, pani Weles jest wegetarianką, a ta Car to w ogóle je tylko zielsko. Nie mogłabym być weganką, a ty?

– I to już wszystko?

– Aha, mój Tadzio ma uczulenie na orzeszki ziemne. Bardzo silną alergię. Ale to wiedzą wszyscy, po prostu wszyscy.

Ja nie wiedziałam.

Nie zdążyłam zapytać, czy to już wszystko.

– I tu masz taki strój, chodziła w nim stara dobra Marysia... – zaczęła Zofia.

Zajrzałam do torby, którą mi wręczyła, i wyciągnęłam łowicki pasiak i kolorową chustę.

– Gdybyś mogła to założyć, prezes Jelonek...

– Rozumiem. Czy jednak pani prezes Jelonek nie zdziwi się, skąd strój łowicki na Warmii?

– Chata jest łemkowska i jakoś jej nie dziwi. – Walenty nalał sobie jeszcze whisky i wypił duszkiem.

– Krótko mówiąc: mam upiec chleb w piecu glinianym, załatwić swojską kielbasę i mleko od krowy, sprawić, żeby ci wszyscy ludzie najpierw się nie spotkali, bo się pozabijają, a potem się spotkali i nie pozabijali, i robić to w tym... czymś. – Wskazałam na strój łowicki.

– I gdybyś wymyśliła jeszcze, jak by tu trochę pozmienić wnętrze. Bo kiedy ona, to znaczy prezes Jelonek, wyjdzie z tej chaty i przyjdzie do nas na śniadanko, mogłaby doznać nieprzyjemnego wstrząsu kulturowego. No wiesz, żeby nasz salon bardziej przypominał prostą wiejską chatę. Może jakieś kubki z wzorem ludowym, dywan, ewentualnie boazeria. To może jest pomysł. Drewniana boazeria pokryta patyną czasu. Może trochę słomy, jakieś stare maszyny rolnicze. Nic wielkiego.

– W tym pokoju. – Jeszcze raz objęłam wzrokiem surowy szlifowany beton na ścianach i marmur na podłodze.

– Będzie nam się wspaniale współpracowało. – Zofia uśmiechnęła się i przycisnęła mnie ponownie do piersi.

Poczułam, jak dwa implanty wbijają mi się w ciało. Cholera, jak oni to robią w łóżku?

Rozdział 2

Próbowaliście kiedyś robić coś w łowickiej sukience? Dobrze wam radzę – nie próbujcie! Uwierzcie mi na słowo: jeśli Bóg chce kogoś pokarać, zsyła mu strój łowicki. Nie da się w nim usiąść, bo jest usztywniany, i można tylko wdzięcznie się prężyć, trzymając pod boki. No i jest zrobiony z wełny, temperatura wewnątrz wynosi jakieś dwieście stopni. Jakby co – ostrzegałam.

Stałam przed drzwiami rezydencji, oczekując przyjazdu gości. Mieli zostawić samochody koło bramy i nadjechać bryczkami. Wasiak, miejscowy człowiek do wszystkiego i właściciel dwóch bryczek, popłakał się ze szczęścia, kiedy się dowiedział, że Walenty wynajmie je obie na trzy dni. Teraz nadjeżdżał, strzelając z bata, ubrany – a jakże! – w strój łowicki. Miał nawet sumiaste wąsy. Sama mu je przyklejałam, a pomysł bardzo spodobał się mojemu pryncypałowi. „No teraz Wasiak wygląda wreszcie jak rasowy chłop” – powiedział.

Piotra Surmacza też ubrałam w strój łowicki, choć protestował, twierdząc, że ma mnóstwo pilnych zadań. Zignorowałam jego opór. Niech pocierpi za tę uwagę o niepaleniu.

To był nawet miły chłopak. Tak usilnie chciał mi pokazać, jaki jest ważny i jak bardzo Walenty ceni go jako swojego asystenta, że nie musiałam go o nic wypytywać. Sam wszystko wygadał. No dobrze, rozpięłam dwa guziki bluzki, choć jeden by wystarczył. Każdemu może się przydarzyć błąd w ocenie.

Wystarczyły te dwa guziki i szeroko otwarte oczy, by

Surmacz opowiedział mi, że Tadeusz Walenty jest jego wujem (dziesiąta woda po kisielu) i zaproponował mu u siebie posadę asystenta. Musiałam jeszcze zatrzepotać rżęsami, żeby się dowiedzieć, że Walenty płaci mu pensję minimalną (byłam gotowa się założyć, że jedna płytką z salonu kosztowała więcej) i – to było najciekawsze! – że ten biedny chłopak uważa, że to on zmanipulował Walentego i dostał przepustkę do świata całej polskiej produkcji telewizyjnej i filmowej. Mówił to z całym przekonaniem, mopując podłogę, czym zajmuje się codziennie. Czyste szyby to też była jego zasługa.

– Wujcio zaprosił tu tę całą filmową zgraję z prezeską Jelonek na czele, no i ciebie... – znowu zerknął mi w dekolt – ...bo musi dostać kontrakt na nowy reality show. Pali mu się pod dupą. To znaczy... wybaczniczenuralne słowo.

Wybaczyłam. Ale zapięłam jeden guzik.

– Oni, rozumiesz, żyją ponad stan, wujcio i Zofia. I ciągle się o to kłóć. On ją wczoraj opieprzył za nowe buty, siedemnaste w tym miesiącu, zresztą nie wiem, straciłem rachubę. – Otarł rękawem czoło. Chyba też było mu gorąco w łowickim stroju. – A ona go zapytała, czy ta wielka motorówka, która właśnie przyjechała w kontenerze, to kolejna z motorówek sąsiadów, czy została kupiona. Bo jeśli to drugie, to może też trochę wydatek ponad stan.

Przejechał jeszcze raz mopem w lewo i w prawo, chociaż podłoga lśniła jak diamenty w uszach pani domu.

– Tak czy inaczej chcę zmusić prezeskę Jelonek, żeby im dała ten reality show – podsumował. – Bo inaczej nawet sprzedaż motorówki nie pomoże. Zresztą odpakowane motorówki strasznie tracą na wartości.

Myślałam, że mózg mi wyparuje z gorąca, więc znowu odpięłam ten drugi guzik. Zachęcony Surmacz opowiedział mi jeszcze, że reszta towarzystwa, które przyjeżdża, na zamiar wykorzystać urodziny wuja i też zaczepić się przy produkcji reality show. Łącznie z tym krytykiem, Maciągiem.

– Serio? – zdziwiłam się. – Ale przecież podobno on i prezes Jelonek się nienawidzą. Jak zamierza się wkręcić do show, skoro to prezes Jelonek ustawia figury na szachownicy, a te niepotrzebne strąca?

– To zależy od fluktuacji aktualnej sytuacji geotowarzyskiej – wymądrzył się Surmacz. Czyli nie wiedział.

Podłoga błyszczała już tak, że jeszcze chwila, a mogłabym pozwać właściciela za uszkodzenie wzroku w miejscu pracy. Surmacz odniósł mop do schowka i nie wiedział, co zrobić z rękami. I oczami. Miałam ochotę sprawdzić, co się stanie, kiedy odepnę trzeci guzik, ale się nie dało, łowicki gorset był za ciasny.

– I mogę się z tobą założyć, że pierwsza pojawi się prezeska.

Niesportowo jest się zakładać, kiedy wiadomo, że przeciwnik przegra. Ktoś taki jak prezes Jelonek lubi mieć wejście, a do tego potrzebni są wszyscy obecni. Poza tym gdyby przyjechała pierwsza, dałaby do zrozumienia, że ma mnóstwo wolnego czasu. Ja obstawiałam krytyka Maciąga z narzeczonym.

Oczywiście miałam rację.

Właśnie nadjeżdżali, w pierwszej bryczce. Nawet do siebie pasowali. Henryk Maciąg – chudy, żyłasty, ogolony na łyso, w grubych rogowych okularach, a jego partner,

znany scenarzysta Igor Lewy – jowialny, obszerny, z rozwichrzoną czarną czupryną, mającą ukrywać dwudziestoletnią różnicę wieku.

– A wiesz, że Lewy napisał w zeszłym roku cztery scenariusze? – wyszeptał mi Surmacz do ucha. – Ale żadnego nikt nawet nie przeczytał. A taki niby z niego znany scenarzysta.

Zerknęłam na kartkę w dłoni. Walenty wręczył mi ją, jakby była zaginionym rękopisem Leonarda da Vinci. Miałam dygnąć i powiedzieć: „Witajcie w Dumie Warmii, strudzeni wędrowcy. Czeka was tu zabawa, jakiej nie znacie, ukojenie, lecz nie liczcie na sen, przezacni i zabawni towarzysze biesiad”.

Postanowiłam, że za wygłoszenie tego tekstu dopiszę Walentemu dodatkową pozycję do rachunku.

– Łowiczanka? Tutaj? – zdumiał się Lewy, gramoląc się z bryczki.

– Teleportacja – wyjaśniłam krótko. – W Łowiczu to powszechne. Połowa teleportowała się do zespołu „Mazowsze”, pozostali pracują w Holandii na plantacjach tulipanów.

– A pani? – zapytał Maciąg.

– A ja zaprowadzę panów do apartamentu. Jestem ostatnią Łowiczanką.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i z ulgą weszłam do klimatyzowanego wnętrza. Czułam, że na brzuchu mogłabym usmażyć omlet. W domu było mnóstwo pokoi, ale pamiętałam, że mam nie dopuścić do spotkania Maciąga z prezes Jelonek, więc zaprowadziłam gości do północnego skrzydła. Piękny pokój z jednym felerem: widokiem na stajnię, a nie na jezioro.

– To świeże powietrze – rozczulił się Lewy i ruszył do okna, ale zastąpiłam mu drogę. Akurat z tej strony zawiewało świeżym obornikiem, jak to ze stajni, i wołałam, żeby odkryli to później.

– Pokażę bezdotykowy prysznic – zaproponowałam.

Zdażyłam wrócić przed dom akurat, kiedy podjeżdżała druga bryczka.

Wysiadły z niej włosy, a za nimi Sonia Weles. Na pewno ją znacie. Bez niej połowa serwisów plotkarskich musiałaby się zamknąć, a paparazzi pomarliby z głodu na ulicach. Sprawdziłam ją. Sonia ma nowego chłopaka – gwiazdę YouTube’a, jak również nową odżywkę do swoich sięgających kolan blond włosów. Ponadto przeszła się wczoraj nad Wisłę i była zde gustowana tym, że woda jest brudna. Gra w filmach, ale nie mogłam sobie przypomnieć żadnego tytułu. Za to doskonale pamiętałam reklamę sieci komórkowej, w której Sonia krzyczy, ucieszona, do przyjaciółki: „Słyszę cię doskonale!”. Każdy by się cieszył.

– Cudem udało mi się tu trafić – jęknęła Sonia. – A moje włosy są w katastrofalnym stanie.

– Wręcz przeciwnie – oceniłam, choć, prawdę mówiąc, włosy tej długości w ogóle nie powinny się przemieszczać. Chyba że teleportować.

– Potrzyj to, moja droga. – Podała mi najnowszego iPhone’a w złocie. – A kiedy odrzucę włosy, zacznij nagrywać. Potrafisz to robić, prawda?

– Radzę sobie. – Skinęłam głową. Miałam nadzieję, że to nie potrwa długo. Temperatura wewnątrz mojego stroju mogłaby już topić nawet odporne rudy żelaza.

Sonia wyciągnęła lusterko i wykonała kilka ruchów przy twarzy i włosach. Na moje oko nie zmieniło to niczego, ale

ją efekt najwyraźniej uradował. Spojrzała na mnie wymownie, więc wcisnęłam nagrywanie.

Zarzuciła włosami i uśmiechnęła się do mnie, to jest do swoich sześciuset trzydziestu czterech tysięcy fanów, którzy na pewno czekali z utęsknieniem na ten moment.

– Witajcie, kochani. Zobaczcie, jak tu pięknie. To nasze polskie Mazury! Właśnie dojechałam. Dacie wiarę, że na tę wyprawę spakowałam się do mojego ukochanego plecaczka Mytrip?

Machnęła plecakiem, który rzeczywiście był niewiele większy od tornistra.

– A teraz marsz nad jezioro!

Przesłała całusa, a ja wcisnęłam „stop”.

– Zapraszam do pokoju, ja wezmę plecaczek.

– Są jeszcze walizy – powiedziała Sonia. – Schowane z tyłu. W plecaczku mam tylko puderniczkę.

Wasiak już dźwigał trzy wielkie walizy, a Sonia, nie czekając na mnie, weszła do domu.

– Zawsze zajmuję ten apartament z balkonem – szczebiotała. – Chciałabym coś na orzeźwienie. Może być szampan. Przyniosłabyś mi jakąś sałatkę? Umieram z głodu. I gdzie jest Tadeusz? Koniecznie muszę z nim porozmawiać.

– Będzie po południu – powiedziałam.

Walenty siedział, co prawda, w gabinecie, ale stanowczo zażądał, by nie przyprowadzać do niego Soni.

– Zameczy mnie – wyjaśnił. – Ma inne zdanie w sprawie serialu.

Nie pytałam o szczegóły. Wiedziałam, że Surmacz mi wszystko wyjaśni.

– No wiesz – powiedział, kiedy go o to zagadnęłam. –

Wujo wyłowił Sonię na castingu i dał jej rolę w tym tasiemcu, *Rodzina Waszyńskich*. A potem w komedii *Pora na romans*. I Sonia nagle została gwiazdą. Ale umówmy się, przecież każdy mógłby to zagrać. Ty też.

Nie byłam pewna, czy był to komplement, ale Surmacz najwyraźniej uznał, że tak, więc uśmiechnęłam się zachęcająco.

– Zdaje się, że grała ciałem – napomknęłam.

– Nie wychodziła z kostiumu kąpielowego – prychnął. – Nie licząc tych trzech momentów, kiedy go zgubiła. I od tamtej pory uważa, że jest jakąś Angeliną. Ale się zdziwi.

Zastrzygłam uszami.

– Zdziwi się? – Jednak udało mi się odpiąć ten trzeci guzik. – Pewnie nie wiesz dlaczego.

– Oczywiście, że wiem! Sonia spodziewa się, że ma angaż do reality show w kieszeni, a tymczasem Tadeusz ani myśli go jej dać. On ma na oku kogoś innego.

Rozdział 3

– Podoba ci się praca? Nie potrzebujesz pomocy? Albo po prostu wsparcia? Jak kobieta kobiecie... – Zofia Montegabbione uśmiechnęła się do mnie uroczo.

To znaczy jej się z pewnością wydawało, że był to uroczy uśmiech, ale przypominała raczej kota szczerzącego się do myszy. Albo lwicę uśmiechającą się do antylopy. Przy okazji zauważyłam, że implanty jej zębów również zostały wykonane bez kompromisów. A naprawdę miałam okazję długo je podziwiać tuż przed oczami.

– Czuję, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić – kontynuowała Zofia. – Zawsze potrafię dostrzec bratnią duszę. Więc gdybyś miała ochotę troszkę poplotkować, wypić razem kawkę na tarasie, to nie wahaj się ani chwili. My, kobiety, musimy trzymać się razem w męskim świecie.

– Na którym tarasie? Doliczyłam się trzech.

– Ach, no tak, nie wszyscy są przyzwyczajeni do większych domów. – Zofia roześmiała się perliście. Dosłownie, a stała pół metra ode mnie. Otarłam chusteczką kropelki jej śliny z dekoltu. – Skoro jesteśmy umówione na kawusię, to miałabym maleńką prośbę. – Mrugnęła łobuzersko.

Od kiedy zjawiała się w kuchni dziesięć minut wcześniej, wiedziałam, że do czegoś zmierza. Najwyraźniej uwertura się skończyła i nadszedł czas na początek opery. Właściwie go znałam, ludzie są przecież powtarzalni, ale interesowało mnie imię, które miało za chwilę paść.

– Znasz Tadeusza...

Powiedziała to w taki sposób, jakbym znała się z jej

mężem od przedszkola, gdzie wspólnie lepiliśmy babki z piasku.

– Jesteśmy razem od dwudziestu pięciu lat, znakomicie się rozumiemy – kontynuowała, nawijając na palec ściereczkę kuchenną i nie patrząc na mnie. Czekałam cierpliwie na nieuchronne „ale”. W takim momencie zawsze pada nieuchronne „ale”, a osoba, które je wypowiada, nigdy nie patrzy w oczy. Nieuchronne „ale” stanowi sedno rozmowy. – ...ale każdy ma przecież swoje słabostki. – Znowu roześmiała się perliście, ale ja przezornie stałam już dalej.

– Otóż jedną z zaproszonych osób jest Malwina Car, młoda, niedoświadczona, z pewnością poczciwa dziewczyna, niemniej, jak by to ująć... – Zofia porzuciła serwetkę i wreszcie na mnie spojrzała. Odetchnęłam. Imię padło, zanim się zestarzałam i posiwiałam.

Malwina, a więc osoba zapewne dużo młodsza od Zofii. Nie znałam żadnej Malwiny, która miałaby więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Pan Tadeusz ma z nią romans, a pani chce to przerwać. – Postanowiłam skrócić jej męki. Miałam do upieczenia ten wiejski chleb, a ona gotowa była lawirować miesiącami, nim doszłaby do meritum: mąż chciał przelecieć początkującą aktorkę, a Zofia przymknęłaby na to oko, gdyby nie obawa, że początkująca Malwina zastąpi ją w roli pani tego przybytku, w którym szkło królowało nad betonem.

– Och, od razu romans! – zachnęła się Zofia. – Raczej zauroczenie. Niemniej zależałoby mi, żebyś miała na nich oko i nie dopuściła, żeby znaleźli się sam na sam. Cóż, ludzie są tylko ludźmi, ale gdy nie ma pokus, nie muszą im

ulegać, prawda?

– I to już wszystko?

– Pod żadnym pozorem nie pozwól, żeby dostała błękitny pokój obok jego gabinetu. Ma być w różowym, koło mojej pracowni – syknęła nagle, a oczy zwęziły jej się niebezpiecznie. Ale po kilku sekundach znowu uśmiechnęła się promiennie i rzuciła się na mnie z rozwartymi ramionami. Zatonęłam w jej uścisku. Chociaż raz wypchany wełniany strój łowicki się sprawdził i zamortyzował uderzenie implantów Zofii.

Pieczenie wiejskiego chleba w glinianym piecu to nie jest coś, czym zajmuję się na co dzień, ale oczywiście i z tym sobie poradziłam. Surmacza wysłałam do wsi po zakwas. Najpierw gderał, ale wrócił po godzinie zachwycony egzotyką miejscowego sklepiku. Przerwałam te ochy i achy i kazałam mu rozpalić w piecu. To znaczy wyraziłam wątpliwość, czy uda mu się ta sztuka. Pognał po drewno, aż się za nim kurzyło, tylko po drodze jeszcze napomknął, że nie znam jego ukrytych talentów. I mrugnął znacząco. Miałam nadzieję, że zachowa je dla siebie.

Z ulgą zrzuciłam na chwilę strój łowicki i zabrałam się do robienia mielonych. Gdybym wiedziała, że będę musiała nosić to cholerstwo, dodałabym dwadzieścia procent do sumy na umowie, za pracę w warunkach zagrażających zdrowiu i życiu.

Tadeusz Walenty w czasie porannej rozmowy, którą nazwał naradą wojenną, zaznaczył kilkakrotnie, że pani prezes Jelonek uwielbia kotlety mielone z buraczkami i ziemniakami. Dla podkreślenia wagi sytuacji rozrysował to nawet na tablicy. Listę zaproszonych osób, strzałki

zielone łączące lubiących się gości i czerwone wskazujące tych, którzy się nienawidzili. Potem dorysował kotlety mielone, zakreślił je kółkiem i dopisał „ważne”.

– Zrobię je bez żadnych kompromisów – zapewniłam go.

Spojrzał na mnie z uznaniem.

– To lubię – pochwalił mnie. – Lubię, kiedy... – Zawiesił głos. Najwyraźniej zamierzał powiedzieć „służba”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. – Lubię, kiedy ludzie rozumieją, o co mi chodzi – zakończył.

Kończyłam lepić kotlety, kiedy usłyszałam coś za plecami. Odwróciłam się. Walenty stał w drzwiach kuchni, przestępując z nogi na nogę. Już chciałam powiedzieć, że łazienka jest w końcu korytarza, ale darowałam sobie. Bogaci producenci filmowi lubią popisywać się poczuciem humoru, jednak niekoniecznie lubią, gdy robią to inni.

– Kochana, miałbym małą prośbę – powiedział cicho Walenty. Rozejrzał się, czy na korytarzu nikogo nie ma, wsunął się do kuchni i dokładnie zamknął za sobą drzwi. – Gdyby była pani tak dobra i umieściła Malwinę Car w pokoju... błękitnym. Ona kocha błękit.

– To ten obok pana gabinetu? – zapytałam.

– Hę? A tak, nawet nie przyszło mi to do głowy. Rzeczywiście. – Roześmiał się nerwowo i rozejrzał po kuchni. – Cieszę się, że sprawa załatwiona. A jak w ogóle się pani u nas podoba? Pięknie, prawda, czyste powietrze, prawda? Ta przyroda, no i las... No to będę leciał.

Wystawił głowę na korytarz, rozejrzał się ostrożnie i wymknął się chyłkiem.

*

Malwina Car robiła wrażenie, muszę to przyznać. Niska, drobna, ciemne włosy, mądre oczy i młoda buzia. No

i figura, za którą można było zabić. Ewentualnie zabić się, jeśli ktoś nie dysponował kształtami choć trochę zbliżonymi do krągłości Malwiny. Poza tym przyjechała z plecakiem, który sama niosła. Dałam jej za to plus. Niestety to nie był jej jedyny bagaż.

– Wzięłam ze sobą znajomego. Sądzi pani, że Tadeusz będzie miał coś przeciwko? – zapytała.

– Zapraszam do środka. – Uśmiechnęłam się szeroko. Niekiedy lepiej zignorować pytanie, na które odpowiedź musiałaby być zdaniem wielokrotnie złożonym, choć skądinąd oczywistym.

Towarzysz Malwiny, starszy o kilkanaście lat, ale ciągle z gęstą czupryną, seksownymi kurzymi łapkami wokół oczu i czarującym uśmiechem, mruknął coś pod nosem.

– Marek Sterling ma sponsorować nowy program Tadeusza – przedstawiła go dziewczyna. – I przy okazji chciałby wiedzieć, czy w okolicy są łęgowiska hełmiatek.

– Musiałabym sprawdzić, sama jestem tu dopiero od wczoraj.

Ruszyłam przodem. Za moimi plecami Sterling powiedział do Malwiny:

– Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś wiedział, co to jest hełmiatka.

Skromność jest dla cieniasów. Zrobiło mi się przyjemnie. Z drugiej strony, przecież płacą mi tak dużo właśnie za to, że wiem takie rzeczy. A także za talent do improwizacji.

Zaprowadziłam ich do domu. Amatora hełmiatek dałam do pokoju błękitnego, a Malwinę do różowego. Sama byłam ciekawa, co z tego wyniknie.

Krótkofalówka ukryta w rękawie stroju łowickiego zaskrzeczała głosem wąsatego Wasiaka, że pojawiła się

główna atrakcja imprezy. Wyszłam przed dom, skontrolowałam, czy strój łowicki układa się jak należy. Byłam bardzo ciekawa prezes Jelonek.

Widziałam ją na zdjęciach, każdy ją widział, ale na żywo wydawała się mniejsza i drobniejsza. Pewnie dlatego założyła gigantyczny kapelusz i krwistoczerwoną sukienkę. Wysiadła z bryczki, ignorując pomocną dłoń Wasiaka.

– Chyba można się w tym ugotować. – Zmierzyła wzrokiem mnie i mój strój. – Wyglądasz jak idiotka, a... – bacznie mi się przyjrzała – ...idiotką nie jesteś. Wyskakuj z tego.

– Chętnie, niemniej pan Walenty jest bardzo przywiązany do swojej wizji. – Postanowiłam nie umierać sama za ojczyznę i nie udawać, że to był mój pomysł.

– Być może, to jego dom. – Jelonek przewróciła oczami. – Ale wszystkie wizje są tu moje.

Wszyscy twierdzą, że to wściekła zołza. Ale ja z miejsca ją polubiłam.

Rozdział 4

Jedną z korzyści, jakie daje wizytówka „Home Disaster Manager”, jest poczucie władzy. Do Home Disaster Manager nikt nie przychodzi z pretensjami. Każdy przychodzi z problemem i prośbą o jego rozwiązanie. I to był właśnie przypadek Tadeusza Walentego.

Zjawił się akurat w momencie, kiedy wkładałam do pieca wiejski chleb na zakwasie.

– Cudownie, cudownie – powtarzał, w ogóle nie patrząc na bochenki owinięte w liście kapusty. Wyznaję zasadę, że jeśli ktoś zamawia sielskość, dostaje ją z naddatkiem. – Prezes Jelonek będzie wniebowzięta. One będą się teraz piekły, tak? Można je na chwilę zostawić?

– Zależy na jak długo – oceniłam trzeźwo.

– Mała sprawa, drobiazg właściwie. Bo doszło do *qui pro quo* – westchnął. – Do pewnego zabawnego zdarzenia, w wyniku którego moja żona Zofia mogła przyjąć całkowicie mylne założenie, że łączy mnie coś z tą aktorką, Malwiną Car.

– Ma podstawy, żeby tak sądzić? – zapytałam.

– Poniekąd – odparł ostrożnie.

– Duże „poniekąd” czy takie nieznaczące? – Lubię stawiać sprawy jasno.

– Weszła i znalazła mnie w łóżku – jęknął. – Co robić, pani Łucjo?

– Lucjo – poprawiłam.

Zdjęłam fartuch i spojrzałam wyczekująco.

– Co mam teraz zrobić? Niech pani sobie wyobrazi, że ona zrobiła mi zdjęcie.

– To było łóżko Malwiny Car? – przerwałam te narzekania.

– Tak. W pewnym sensie. Nie wiem.

– Była w nim Malwina Car?

– Nie – jęknął Walenty. – Gorzej.

– To kto w nim był? – Zaczynałam tracić cierpliwość.

– Myślałem, że tam leży Malwina, wślizgnąłem się pod kołdrę, a wtedy Zofia... Ach, szkoda, że jej pani nie widziała. Chociaż może lepiej, że jednak nie. Wtargnęła jak burza. Krzyczała, że mnie zniszczy i zrujnuje przy rozwodzie.

– Naturalnie – przytaknęłam. – Kobiety zazwyczaj wykrzykują takie rzeczy, kiedy nakrywają męża w łóżku z obcą kobietą. To ma związek z podwójnym chromosomem X.

– Ale to jeszcze nie koniec.

– Groziła czymś innym?

– Nie w tym rzecz. Po prostu powiedziałem, że to, z kim leżę, to moja prywatna sprawa, a Malwina nie ma tu nic do rzeczy. Na co Zofia zerwała kołdrę z Malwiny, ale jej tam nie było.

– Rozumiem – przytaknęłam. – Był tam ktoś inny.

– Wiedziała pani? – Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Życie Home Disaster Manager nauczyło mnie, że pod kołdrą mogą czaić się różne niespodzianki.

– Tam był facet. W dodatku zupełnie mi nieznany – westchnął Tadeusz.

– A więc nie ma kłopotu.

– Przeciwnie, jest! – krzyknął. – Teraz Zofia nie tylko wie, że mam romans z Malwiną, bo sam jej o tym powiedziałem, ale uważa, że jestem biseksualny i kiedy

tylko mam okazję, wślizguję się do łóżek obcych facetów. I ma na dowód zdjęcia. Ten facet... Kim on w ogóle jest?

– Przyjechał dziś – wyjaśniłam dyplomatycznie. – Przedstawił się jako sponsor.

– Jezus Maria! – Walenty klapnął z rozmachem na stołek. – To ten sponsor? Miał mi sfinansować nowy program. Co ja mam teraz zrobić? Facet przyjechał porozmawiać o warunkach, a ja pakuję mu się do łóżka, po czym wpada moja żona i grozi mu – bo jemu też, przy okazji, groziła – że go zniszczy.

Zmarszczyłam brwi.

– Widywałam już gorsze problemy.

– To nie wszystko – westchnął Walenty. – Chciałem wyjaśnić Zofii, że nie jestem gejem. Bardzo szanuję osoby o odmiennej orientacji, ale osobiście nigdy nie gustowałem w mężczyznach. I nieszczęśliwie wyznałem, że znalazłem się tu wyłącznie dlatego, że chciałem zaproponować Malwinie rolę w nowym reality show. To znaczy tę rolę miałyby dostać Malwina zamiast Soni. Niestety Sonia akurat weszła do pokoju, zwabiona, jak mówiła, krzykami, i kiedy usłyszała... Powiedzmy, że mocno się wzburzyła.

– To również ma związek z podwójnym chromosomem X – wyjaśniłam. – Żadna kobieta nie lubi słyszeć, że została zastąpiona inną.

– Rzuciła we mnie wazonikiem. Na szczęście nie trafiła. Zawsze jej powtarzam, że ma kłopoty z koncentracją. Wazonik to, na szczęście, nie były duże koszty.

– No cóż, i tak by się dowiedziała – zasugerowałam.

– Tak, ale chciałem, żeby potraktowała to jako awans – westchnął.

– Usunięcie z reality show, w którym każdy chce

wystąpić? Mogłaby nie dopatrzeć się w tym awansu – zasugerowałam.

– Właśnie tu dochodzimy do pani roli. – Odetchnął i odzyskał rezon. – Przyszło mi na myśl, że, używając swoich technik, mogłaby pani przedstawić jej tę sprawę w... odpowiednim świetle.

Czy wspominałam, że moi klienci mają mnie za bóstwo i gdy tylko rozpościera się przed nimi jakieś Morze Czerwone, oczekują, że dzięki moim działaniom ono się rozstąpi i przejdą na drugi brzeg suchą stopą? Różnica między mną a bóstwem polega na tym, że ja wystawiam za swoje usługi faktury.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Otóż długo pracował pan w nocy nad koncepcją tego nowego reality show – zaczęłam mówić. – Chce pan zanotować?

– Zapamiętam – obiecał Walenty.

– Czyli pracował pan do późna. Ileż się człowiek musi natrudzić, żeby dostarczyć ludziom rozrywki. Ale zostawmy to, mało kto potrafi takie rzeczy docenić. W każdym razie był pan znużony i postanowił się zdrzemnąć.

– No tak właśnie było! – Spojrzał na mnie z wdzięcznością. – Ale czemu postanowiłem się zdrzemnąć w nie swoim łóżku?

– Był pan tak wyczerpany, że pomylił pan drzwi. Cóż bardziej naturalnego, że rozebrał się pan i wszedł pod kołdrę?

– No tak, oczywiście, byłem bardzo zmęczony. Ale zaraz, kiedy wpadła moja żona, dlaczego nie spałem, tylko powiedziałem, że szukam Malwiny?

– Nic podobnego – zaprzeczyłam. – Powiedział pan, że

szuka polopiryny i bardzo jej potrzebuje. Z powodu bolącej głowy, która przecież bolała nie bez powodu, tylko z nawału obowiązków. A pana żona źle usłyszała.

– Tak właśnie było! – wykrzyknął uradowany. – A ten cały sponsor? Co on sobie pomyśli?

– Załatwię to z nim – obiecałam.

– A zdjęcia, które zrobiła mi Zofia?

– Tym też się zajmę – obiecałam.

– Wspaniale! – wykrzyknął. – Przywraca mi pani wiarę w ludzi. Byłem zmęczony, poszedłem zdrzemnąć się na chwilę w środku dnia, szukając polopiryny. Tak, to genialne.

Wybiegł z kuchni. Przez okno zobaczyłam, jak truchta do stojącej opodal wiejskiej zagrody, w której rozgościła się prezes Jelonek.

Muszę powiedzieć, że nieźle Walentemu wyszła ta cała sielskość. Na podwórku przed sprowadzoną spod Przemyśla chałupą była nawet działająca studnia z żurawiem i rosły dwie jabłonki oraz dąb. Sama chata wyglądała na sympatyczny domek Baby-Jagi i to by się nawet zgadzało. Pod oknami sterczały dorodne łubiny, a dekoratorzy wewnątrz – nie wątpiłam, że robili fuchę po godzinach – zaszaleli i ustawili pod oknami starannie oczyszczone stuletnie maszyny rolnicze. Zaimponowali mi.

Chleb wyglądał na idealnie wypieczony. Wyjęłam go specjalnie do tego celu przeznaczoną łopatą, umieściłam na wzorzystym talerzu i ruszyłam do domku Baby-Jagi.

Oczywiście mogłam poczekać, ale byłam ciekawa, o czym Tadeusz Walenty rozprawia z prezes.

Przed oknem zwolniłam kroku. Ze środka dobiegał

podniesiony głos Walentego.

– To cios w moją firmę! Przecież zrobiłem już całą dokumentację. Bez kompromisów, czy ty wiesz, ile to kosztowało?

Nie usłyszałam odpowiedzi, ale nie zadowoliliła ona Walentego. Wybuchnął jeszcze głośniej:

– Ja mam to wszystko nagrane! Mam naoczny, nie, nauszny dowód, jak przyjmujesz korzyść majątkową!

Tym razem usłyszałam odpowiedź prezes Jelonek:

– Od ciebie.

– Ale przyjmujesz. Już widzę te nagłówki w gazetach. „Faustyna Jelonek winna korupcji”.

– A ja widzę: „Tadeusz Walenty wręcza łapówkę” – odparła z ironią Jelonek.

– Większe głowy poleciały już w telewizji za takie rzeczy! I ciebie też to czeka, zobaczysz!

Zdażyłam się akurat odsunąć, zanim Walenty wypadł przez drzwi z błędnym wzrokiem i zwichrzoną czupryną. Spojrzał ze zdumieniem na gorący chleb na półmisku.

– Nie dodała pani przypadkiem cyjanku? Arseniku? Rtęci? – syknął.

– Obawiam się, że żaden z tych składników nie znajdował się w zestawie przypraw w pana kuchni. – Pokręciłam głową.

– Pani ma takie dobre pomysły... – Pociągnął mnie za łokieć w stronę szopy. Rozejrzał się i ściszył głos. – Niech pani sobie wyobrazi taką hipotetyczną sytuację: pewien mój znajomy ma problem. Otóż zajmuje się... zajmuje się... dostarczaniem wina do restauracji. Tak, wina. I niestety, żeby zdobyć kontrakt na to wino, bo to porządny człowiek, ale ma rodzinę na utrzymaniu i musi myśleć o przyszłości,

był zmuszony zaproponować menedżerce restauracji pewien procent, żeby je kupiła.

– Czy nie na tym polega sprzedaż?

– Oczywiście, oczywiście – pospieszył z zapewnieniem Walenty. – Tylko ten znajomy zrobił to niejako pod stołem, w kopercie.

– Nierozsądnie.

– Tak, ale to inteligentny człowiek, no i zorientował się, że w tej stacji... to znaczy restauracji wszyscy dostawcy tak postępowali. Dostawca ciastek, makaronu, kawy – wszyscy przynosili menedżerce koperty, żeby ich towary znalazły się w karcie. Bo tylko ona komponuje menu.

– Rozumiem. Ale skoro ten układ wszystkim odpowiadał...

– Działał doskonale, niestety ta menedżerka nagle powiedziała koledze, że znalazła innego dostawcę wina.

– Przykre – westchnęłam. – Może on mógłby w takim razie znaleźć inną restaurację?

– To niemożliwe. – Walenty pokręcił głową. – On mieszka w mieście, w którym jest tylko kilka restauracji i niestety, z nieznanых powodów, menedżerki pozostałych bardzo go nie lubią, choć to kulturalny i uprzejmy człowiek.

– Może więc założyłby hurtownię lub sklep?

– Nie, nie, to takie miasto, w którym ludzie nie kupują wina w hurtowni czy sklepie, tylko zawsze piją je w restauracji – westchnął Walenty. – Ten mój znajomy zagroził menedżerce, że wszystko opowie właścicielowi. Niestety, nie ma na to żadnych dowodów, natomiast ona ma nagranie, w którym on proponuje jej pieniądze.

– Powinien odzyskać to nagranie – poradziłam.

– Rzeczywiście – przyznał Walenty. – Tylko jak to

zrobić? Ten znajomy wie, że preze... to jest ta menedżerka ma nagranie zapisane na pendrivie, który jest zawsze przypięty do jej torebki, a torebkę nosi zawsze ze sobą.

– To trudne.

– Bardzo trudne. – Smętnie zwiesił głowę. Wyglądał jak uczeń, który właśnie się dowiedział, że nie przejdzie do następnej klasy.

– Niemniej możliwe.

– Możliwe? – Spojrzał na mnie z nadzieją. – Ten mój znajomy zbankrutuje, jeśli nie dostanie kontraktu na wino, bo już przygotował specjalny gatunek, który będzie można zamówić tylko w tej restauracji.

– I uważa, że jeśli przechwyci pendrive, to ta menedżerka zgodzi się na jego warunki?

– Tak. – Walenty energicznie pokiwał głową. – Zostaną do załatwienia pomniejsze sprawy. Otóż ten znajomy chciałby, żeby to wino serwowała eee... inna kelnerka. Znacznie ładniejsza i lepiej znająca się na winie niż ta... poprzednia.

– Ale czy o tym nie decyduje menedżerka? – zapytałam.

– Mój znajomy umówił się z nią, że on o tym decyduje, ale niestety nie ma tego na papierze.

– To trudne – westchnęłam.

– Tak. Więc pani Lucjo... Łucjo... nie, Lucjo – poprawił się, zanim zdążyłam zareagować – co by pani doradziła takiemu znajomemu?

Wzruszyłam ramionami.

– Doradziłabym zadzwonić do Home Disaster Manager i zamówić rozszerzony pakiet usług.

Rozdział 5

Ludzie uwielbiają mówić, a ja im na to pozwalam.

Prezes Faustyna Jelonek siedziała w głębokim fotelu, obitym – a jakże! – tkaniną ludową, na szczęście nie łowicką. Wyglądała na szczęśliwą. Zajadała się pajdą wiejskiego chleba z miodem i popijała herbatą z imbirem. I monologowała już od kilku minut.

– Znakomity ten chleb, moje dziecko. Moja ciotka piekła taki sam w domu na Podlasiu, dokąd jeździłam na wakacje.

Mówiła dalej, tak długo, że w końcu mogłabym ten dom na Podlasiu zrekonstruować, łącznie z wyposażeniem strychu, ale oszczędzę wam tego. Kiwałam głową, skupiona na pendrivie, który zwisał przypięty łańcuszkiem do jej torby. Przelatywały mi przez głowę różne pomysły. Odrzucałam jeden po drugim. Rozważyłam nawet podanie środka przeczyszczającego, całkowicie bezpiecznego, po którym prezes Jelonek musiałaby się udać w ustronne miejsce, ale porzuciłam ten pomysł, kiedy prezes przeprosiła na moment i sama poszła do toalety. Z torbą. Kto w domu chodzi do łazienki z torbą?

– Wyglądasz mi na bystrą osobę – kontynuowała, kiedy wróciła. Nie skomentowałam tego. Nie komentuję oczywistości. – Henryk Maciąg. Ciekawa jestem, co o nim myślisz?

– Oryginalne spojrzenie na polskie produkcje filmowe – powiedziałam.

– Oryginalność to pierwszy stopień do piekła – stwierdziła zdecydowanie zbyt szybko. – Choć wielkie umysły mają, oczywiście, nietuzinkowe sposoby działania.

Omiotłam miotełką niewidzialny kurz na parapecie. Miotełka znakomicie sprawdza się w sytuacjach, kiedy rozmówca mozolnie brnie do celu i muszę to przeczekać.

– Na przykład Albert Einstein bardzo często pokrzykiwał na swoich współpracowników, wiedziałaś o tym? – kontynuowała prezes Jelonek.

– Doprawdy? Nie miałam pojęcia – udałam zdumienie, omiatając lniane zasłony w błękitne pasy.

– Nie znosił bylejakości i kiedy tylko spotykał się z kimś mało zdolnym, dawał wyraz swojej frustracji. Na przykład ciskając w niego tym, co miał pod ręką. – Prezes Jelonek pokiwała głową i upiła łyk herbaty. – A mimo to po latach wspominamy go jako geniusza, a nie chuligana rzucającego w ludzi przedmiotami.

– Rzeczywiście, niewielu określiłoby Einsteina mianem chuligana – zgodziłam się.

– Właśnie. Czymże jest jedna rozbita głowa albo kilka niemiłych słów w obliczu bomby atomowej?

– Stworzył jeszcze teorię względności – zauważyłam.

– Celna myśl. Właśnie chciałam dodać, że pewne rzeczy są względne. Choćby to, że niektóre osoby mogą rozdmuchać względnie nieduży incydent do wielkich rozmiarów.

– Na przykład Henryk Maciąg?

– Dokładnie tak, moje dziecko. – Prezes Jelonek ucieszyła się z mojej domyślności. – Wyobraź to sobie: doszły mnie słuchy, że zamierza napisać pokaźny artykuł oparty na całkowicie mylnym założeniu, że jestem terrorystką, która pomiata ludźmi.

– I rzuca w nich przedmiotami?

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto rzuca? – Faustyna

Jelonek rozłożyła ręce. – Nawet jeśli zdarzyło mi się w kogoś rzucić, raz czy dwa, przecież wiadomo, że to nie było na poważnie. Ludzie wciąż robią takie rzeczy.

– Albert Einstein, na przykład.

– Właśnie. – Spojrzała na mnie z wdzięcznością. – Widzę, że rozumiesz. Nawet jeśli trafił kogoś kałamarzem i rozciął mu łuk brwiowy, to przecież nie zaczniemy pisać jego biografii od takiego nieszczęśliwego wypadku.

– A Henryk Maciąg zamierza pisać biografię?

– Doszły mnie słuchy, że ma takie plany i zamierza porozmawiać z Tadeuszem Walentym, który chce mu opowiedzieć o podobnym przypadku.

– Cóż, każdego mogą raz ponieść nerwy – podpuściłam ją trochę.

– Być może kilka razy. Albo ciut więcej. W końcu od dziesiątków lat zmagam się z niekompetencją – westchnęła.

– Rzucając przedmiotami?

– Och, chodzi o drobiazgi. – Machnęła ręką. – Zdarzyło mi się zamknąć pewną osobę w schowku na szczotki na cały dzień, kogoś tam oblałam kawą... Ale wystudzoną! Same drobnostki, nikomu nie spadł włos z głowy. Jednak dziś patrzy się na podobne przypadki z zupełnie innej perspektywy. Opublikowanie takiego tekstu mogłoby rzucić cień podejrzenia, że... jak to się mówi?

– Mobbowała pani pracowników.

– Właśnie. – Uśmiechnęła się. – A przecież nie ma o tym mowy. Ta dziewczyna i inni, których zamykałam w schowku na szczotki...

– To było ich więcej?

– Okazało się, że to znakomity środek wychowawczy, więc zastosowałam go jeszcze kilka razy – przyznała prezes

Jelonek. – Zresztą muszę powiedzieć, że po latach te osoby gorąco mi dziękowały. Pewien znany dziś reżyser ze łzami w oczach wyznał, że nie byłby teraz sobą, nie współpracowałby z Hollywood, gdybym nie pozwoliła mu przemyśleć swoich zaniedbań.

– W schowku na szczotki?

– W schowku na szczotki – potwierdziła. – Rzeczywiście pewnego razu zapomniałam go uwolnić i przesiedział tam całą noc, ale to był naprawdę duży, wygodny schowek i reżyser wcale nie narzekał. Niemniej jeśli ktoś opisałby tylko suche fakty, nie wspominając ani słowa o aspekcie wychowawczym, dobrych intencjach i tak dalej, wydzwięk całego tekstu, zwłaszcza w czasach poprawności politycznej, mógłby mnie postawić w całkiem fałszywym świetle. Rozumiesz, moje dziecko?

Skinęłam głową. Zastanawiałam się, dokąd zaprowadzi nas ta rozmowa.

– Tadeusz wspomniał, że jesteś Home Disaster Manager. Co za wspaniała praca! Zastanawiam się, czy nie pomogłabyś starej kobiecie, której grożą ludzie mogący zniszczyć jej reputację – westchnęła Faustyna Jelonek.

– Nie wiem, jak mogłabym pomóc – powiedziałam ostrożnie.

– Drobiazg. – Uśmiechnęła się promiennie. – Ten Maciąg to tragiczna postać, zupełnie przegrana. Zresztą wiadomo, że krytycy to beztalencia, którym nie udało się zostać aktorami lub reżyserami. Otóż Maciąg zamierza porozmawiać z Tadeuszem o pewnych dokumentach, które są w posiadaniu tego drugiego. A właściwie o dokumentacji filmowej takich przypadków. Z tego, co wiem, znajdują się na jego komputerze. Ty, moje dziecko, możesz wszędzie

wejść i, niby przypadkiem omiatając tą miotełką, zajrzeć do komputera. I, na przykład, skopiować mi ten folder. Byłabym bardzo wdzięczna.

– Ale pan Tadeusz chyba nie – zwróciłam jej uwagę.

– Przecież nie musiałby wiedzieć. – Faustyna się uśmiechnęła. – Po prostu interesuje mnie, co o mnie mówią moi przeciwnicy. Myślałaś kiedyś o karierze w telewizji, moje dziecko? Pracuje tam tak wiele niekompetentnych osób, a przydałby się ktoś z potencjałem.

Rozdział 6

Ludzie często uważają, że praca w domu jest nudna, i pytają, jak sobie z tą nudą radzę. Prawda jest taka, że akurat o nudzie mogłam zapomnieć.

Ile razy w życiu zdarzyło wam się porządkować pranie i znaleźć w nim parę niekompletnie ubranych ludzi? Mnie już kilkakrotnie, jednak to nieodmiennie zaskakujące. Powiecie zapewne, że w waszej łazience czy pomieszczeniu gospodarczym trudno byłoby się ukryć aż dwóm osobom, i tu macie rację. Pralnia w Dumie Warmii była wielkości salonu w normalnym domu. Stały w niej, oprócz dwóch ogromnych pralek i suszarki, także regały. Wstąpiłam na chwilę sprawdzić, czy obrusy i serwetki na kolację są czyste i wyprasowane. Niekompletnie ubrani ludzie, o których wspomniałam wyżej, byli za pierwszym regałem.

– Dzień dobry, piękny dzień – powitała mnie Malwina Car, jakbyśmy byli na spacerze. Niestety nie byliśmy. Nakrywała się jakąś narzutą. Mężczyzną, schowanym za wielką poduszką, ale pod nią również nagim, był Marek Sterling.

– Wspaniały. Widziałam jedną hełmiatkę – odparłam.

– Właśnie mieliśmy się wybrać na obserwację. – Malwina Car pokiwała energicznie głową. – Zastanawialiśmy się, czy to właściwa pora.

– Myślę, że z pewnością warto spróbować.

– Mogła pani odnieść mylne wrażenie, widząc nas w takim... stanie – odezwał się Sterling. – Mówiłem Malwinie, że to nierozsądne, ale...

– Misiu, przecież rozumiesz, że Tadeusz nie może się

dowiedzieć – westchnęła teatralnie Malwina.

– Nie rozumiem. – Sterling najwyraźniej trochę się zirytował. – Mieliśmy omawiać sprawy biznesowe, a nagle znajduję go w swoim łóżku. Czy on tak postępuje ze wszystkimi gośćmi? – zwrócił się do mnie.

– To był nieszczęśliwy zbieg okoliczności – wyjaśniłam. – Oraz pomyłka.

– Nigdy nie zdarzyło mi się przez pomyłkę wejść komuś do łóżka – prychnął Sterling. – Tobie się zdarzyło? – zwrócił się do Malwiny. – I w ogóle dlaczego nie możemy mieć wspólnego pokoju? Czuję się, jakbym znowu był w liceum i mama nie mogła się dowiedzieć.

– Tłumaczyłam ci przecież, że sytuacja jest skomplikowana i Tadzio wyobraża sobie, że coś nas łączy – westchnęła Malwina. – To znaczy nie mnie i ciebie, tylko mnie i jego.

– Przecież wyjaśniłaś mu, że to dawno skończone.

– Mówiłam, że to skomplikowane.

– Ale nic cię z nim nie łączy? – dociskał Sterling.

– Tadzio może sobie wyobrażać, że tak – westchnęła Malwina.

– Ale nie ma do tego podstaw?

– Podstawy to bardzo wieloznaczne określenie – wyjaśniła Malwina, szczerzej zaślaniając się narzutą.

– Chciałbym wiedzieć, na czym stoję! – wybuchnął Sterling. – Wyobrażałem sobie, że przyjeżdżam tu ze swoją dziewczyną na rozmowę o finansowaniu programu. Tymczasem do łóżka pakuje mi się facet i na dodatek ma na moją dziewczynę ochotę. Hej, jemu chodzi o jakiś trójkąt? Ja się na to nie piszę!

– Ależ misiu, to nie tak!

– Wciąż tu jestem – przypomniałam im, ale najwyraźniej nie usłyszeli.

– Pójdiesz do niego i powiesz mu, że to koniec i żeby nie wyobrażał sobie, że może sobie coś wyobrazać – zagroził Sterling.

– Ależ wtedy zabierze mi tę rolę! – krzyknęła Malwina.

– Może i tak. – Sterling, nadal za poduszką, zaczął się ubierać. Założył koszulkę, wstał i ruszył do drzwi. – Ale jeśli ja nie dam pieniędzy na program, to nie będzie roli!

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Malwina też się ubrała i wściekła ruszyła do drzwi. Zatrzymała się z ręką na klamce.

– Ci mężczyźni wciąż opacznie rozumieją sytuację. Marek w ogóle nie ma pojęcia o mojej przyjaźni z Tadeuszem.

– Może to z powodu seksu? – zasugerowałam.

– Och, to przecież tylko sprawy zawodowe – skrzywiła się Malwina. – Mężczyźni nie są w stanie tego pojąć. Chyba że pani mogłaby wytłumaczyć Tadeuszowi naturę stosunków łączących mnie z Markiem... A Markowi złożoność sytuacji panującej w świecie telewizji...

– Czyli seks – podsumowałam. – Ale powinna się pani jednak zdecydować na któregoś z nich. Tak będzie łatwiej.

– Miałam nadzieję, że jako kobieta zrozumie mnie pani. – W głosie Malwiny usłyszałam wyrzut. – To jest decyzja artystyczna, a one nigdy nie są łatwe. Poza tym to będzie świetny program.

Spojrzała na mnie wyczekująco.

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecałam.

Rozdział 7

Przygotowywałam kolację. To nie było proste, bo co chwila ktoś wchodził do kuchni z niecierpiącą zwłoki sprawą.

Ale nie wybiegajmy w przyszłość, mówiąc o zwłokach.

Przygotowywałam bigos. Dziwny wybór na wykwinną kolację urodzinową, ale Tadeusz Walenty upierał się, że bigos musi być. Bo jak sam twierdził, uwielbiał go i jadał o każdej porze roku i dnia. Zapewniłam go więc, że będzie. Bez żadnych kompromisów.

Kroiłam kielbasę, kiedy pojawiła się Zofia i bez słowa zaczęła myszkować po kuchni.

– Nie ma go! – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Mojego męża tu nie ma!

Powstrzymałam się od uwagi, że szansa, by ukrywał się w szafce na sztuce, jest znikoma.

– Jeśli się pojawi, przekaz mu, że nie życzę sobie, żeby ta kobieta przebywała pod naszym dachem. Ten facet również.

– Oczywiście – przytaknęłam.

Pofurczała jeszcze trochę, otworzyła kilka szafek i stwierdziła, że tam również nie ma jej męża – który akurat wszedł do kuchni.

– A, tu jesteś – powiedział do żony. – Wszędzie cię szukam.

– To ja cię szukam – stwierdziła Zofia oskarżycielsko.

– Nieważne. – Walenty wielkopańskim gestem machnął ręką. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że musimy poważnie porozmawiać. Ale to już po moich urodzinach. Od sześćdziesiątki zaczynam nowe życie.

Puścił do mnie oko i wyszedł.

– Nowe życie! W głowie mu się poprzewracało – prychnęła gorzko Zofia. – Ubzdurał sobie, że zejdzie się z tą, jak jej tam, Malwiną. I że się zgodzę na rozwód. Po moim trupie!

Zakręciła się na pięcie i też wyszła.

Wróciłam do kiełbasy, ale pojawił się Henryk Maciąg z Igorem Lewym.

– Pyszności! – zachwycił się Lewy. Myślałam, że wsadzi palec do sałatki, ale na szczęście w ostatniej chwili zrezygnował.

– Doszły mnie słuchy, że na kolacji będzie pani prezes Jelonek – zaczął ostrożnie Maciąg.

Skinęłam głową, przypominając sobie jeszcze i o tej niedogodności.

– Wyraziła żywiołową radość z tego spotkania.

– Żywiołową? Radość? Ona? – Maciąg stanął jak wryty. – Nie pomyliła jej pani z kimś innym?

– Powiedziała, że niezmiernie się cieszy, że się zobaczycie. Dodała też, że przeczytała z uwagą pana książkę *Obraz kontrolny. Telewizja w Polsce po 1989 roku*.

– Doprawdy? – zdumiał się Maciąg. – Mówiła coś jeszcze?

– Tak. Kilka zdań o tym, że pana uwagi były wyjątkowo celne. I szkoda, że taki umysł jak pański nie zaangażował się w budowę telewizji od środka. Gdyby zajął pan jakieś eksponowane stanowisko, niewątpliwie przyniosłoby to korzyści obu stronom.

Zastanowiłam się przez chwilę, czy nie przesadziłam. Z doświadczenia jednak wiedziałam, że nikt, kto stworzył dzieło: książkę, film czy obraz, nie jest w stanie oprzeć się pochlebstwu.

– Wspomniała o eksponowanym stanowisku? – upewnił się Maciąg.

– Dwa razy – potwierdziłam. – Najpierw mówiła coś o posadzie rzecznika prasowego...

Na twarzy Henryka Maciąga dostrzegłam zawód.

– Potem jednak dodała, że to zbyt niskie stanowisko dla kogoś tak błyskotliwego jak pan, i wspomniała o...

– Może mówiła o nowych projektach, do których potrzebny byłby zdolny scenarzysta? – wtrącił się Lewy.

– Igor, proszę cię, nie teraz! – fuknął Maciąg. – A więc o czym wspomniała?

– Mówiła, zdaje się, że przydałby się nowy dyrektor programowy – dodałam, obserwując reakcję Maciąga. Tym razem była taka, na jaką liczyłam.

Znacie tę minę podczas rozdania Oscarów, kiedy kamera najeżdża na osobę, której nazwisko zostanie wyczytane? Napięcie nagle zamienia się w błogi spokój i na twarzy zwycięzcy pojawia się wyraz pod tytułem: ależ moi drodzy, to nic takiego, oczywiście że się cieszę, ale przede wszystkim interesuje mnie los lasów amazońskich. Tak też było i tym razem.

– Zaskoczyła mnie pani, nigdy nie myślałem o takim stanowisku – powiedział Henryk Maciąg. Stwarzał w tym momencie ciekawy obiekt do badań dla specjalistów od mowy ciała, które dawało wyraźne sygnały, że myślał o tym dzień i noc.

– Och, pani prezes też sądziła, że nie byłby pan zainteresowany – westchnęłam. – Mówiła, że jest pan taki zapracowany, na pewno pisze pan znowu jakąś wspaniałą książkę i nie ma pan czasu.

– No i nie myliła się – parsknął Lewy. – Ale trochę jej

kapcie spadną, kiedy...

– Ależ Igorku, co ty mówisz. – Maciąg uśmiechnął się i zdecydowanie nastąpił partnerowi na palce.

– Au! – jęknął Igor. – Ten palec już wcześniej mnie bolał.

– Ojej, zapomniałem – zmartwił się Maciąg. Jego ciało uparcie mówiło co innego. – Idź do pokoju i potrzyмай w ciepłej wodzie, a ja jeszcze chwilę porozmawiam z panią Łucją.

– Lucją – poprawiłam.

– Oczywiście. Tak mi przyszło do głowy, pani Lucjo, że może, przy okazji, mogłaby pani nadmienić prezes Jelonek, że praca nad książką i recenzjami nie zajmuje mi całego czasu. Wręcz przeciwnie, mam dużo pomysłów, które mógłbym spożytkować dla dobra nas wszystkich.

– Lucjo. Być może uda mi się o tym wspomnieć. Choć rzecz jasna to niełatwe.

– Pani Lucjo, mam wrażenie, że dla pani nie ma rzeczy niemożliwych – rozpromienił się Maciąg. – Nie myślała pani kiedyś o zmianie zawodu? Osoba taka jak pani marnuje się tutaj. A przecież jest tyle doskonałych show, choćby kulinarnych, i ktoś musi je prowadzić.

Przez grzeczność przyznałam mu rację, choć myślę, że zmieniłby zdanie, gdyby zobaczył wysokość mojego uposażenia.

– Lucjo. Zrobię, co się da – obiecałam, czując, że uszczęśliwiłam kolejną osobę.

Nie było mi dane skupić się na pracy. Ledwo znalazłam wędzone śliwki do bigosu, do kuchni przyszedł Wasiak. Wąsy mu się odkleiły. Sporządziłam trochę kleju z mąki i przytwierdziłam je tak, że uda mu się odzepić sztuczny

zarost pewnie gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia.

Wychodząc, Wasiak minął się w drzwiach z Surmaczem. Ten wpadł do środka z wyrazem twarzy, jakby na zewnątrz znajdowała się Godzilla i zamierzała rozdeptać dom.

– Sonia wyjeżdża! – krzyknął. – Wymyśl coś. Spakowała walizki i mówi, że nie zamierza tu zostać ani chwili dłużej.

– Chyba że...

– Co: „chyba że”? – Spojrzał na mnie zbity z tropu.

– Kobieta wygłaszająca takie zdanie kończy je słowami „chyba że”, po których pada warunek – wyjaśniłam cierpliwie.

– A tak, rzeczywiście, było jakieś „chyba że” – stropił się Surmacz. – Skupiłem się na tym, że wyjeżdża natychmiast.

Zaczęłam z rozmachem siekać kapustę, żeby zająć czymś ręce i nie zamordować fajtłapy. Jakim cudem przeszedł przez podstawówkę, ba, przez przedszkole, nie dowiadując się, że nieważne, co jest przed „chyba że”, i należy słuchać tego, co padnie po?

– Wspominała, zdaje się, że pan Walenty musiałby obiecać i poświadczyć to podpisem, że to ona dostanie rolę w reality show. O rany, właśnie tu idzie!

– Możesz odejść – zezwoliłam łaskawie.

Wymknął się jak Arsène Lupin agentom policji, a do kuchni wpadła Sonia Weles. Zaczęłam powoli wątpić, czy zdążę z kolacją. Wyobraziłam sobie kolejkę stojących przed wejściem, z których każdy przebierał nogami, a potem wpadał tu jak burza.

– Po moim trupie! – krzyknęła. – Schował się jak szczur! Nie będę biegać z walizką po całym domu. Niech on sobie nie wyobraża, że dam się zbyć, jak jakaś kuchar... – Zamilkła.

Uznałam, że wykazała się rozsądkiem. Nie zadzieraj z kucharką, która trzyma w ręku ostry tasak – mówi stare chińskie przysłowie. Lub mogłoby mówić.

Chciała jeszcze coś dodać, ale zgasło światło. A właściwie wszystkie światła. Wysadziło korki.

Na szczęście skrzynka z bezpiecznikami znajdowała się w kuchni. Mogłam jedną ręką mieszać bigos, a drugą przywrócić jasność.

– Wydaje mi się, że wyjazd byłby przedwczesny – zasugerowałam Soni, zatrzaszkując skrzynkę. Bigos skwierczał.

– Skoro Tadeusz postanowił się mnie pozbyć, to ja pozbędę się jego. Wszystko wyląduje na Pomponiku i Pudelku, wszystkie zdjęcia i to, co mówił o innych gwiazdach!

– A gdyby pojawiła się propozycja o ciężarce gatunkowym podobnym do reality show? – zasugerowałam.

– A pojawiła się? – Sonia nagle się uspokoiła i sprawdziła w szybie szafki, jak układają jej się włosy. Chyba zadowolona z rezultatu, spojrzała na mnie pytająco.

– Doszły mnie słuchy o nowym serialu, naprawdę duża sprawa. Zaangażowana jest w to osobiście prezes Jelonek.

– I tak nienawidzę Tadeusza. – Wydeła wargi.

– Oczywiście – przyznałam. Wiem przecież dobrze, że z uczuciami nie ma co walczyć. – Ale może warto posłuchać, co prezes Jelonek miałaby do zaoferowania.

– Właściwie mogłabym zostać jeszcze jedną noc – zastanowiła się Sonia. – Co będzie na kolację?

Kiedy przedstawiłam menu, skrzywiła się. Widać było, że układał je mężczyzna, amator nóżek w galarecie, mięs oraz ciężkich sosów. O bigosie nie wspomnę.

– Zrobię jeszcze sałatkę z krewetkami – dodałam.

– Zostanę – zdecydowała Sonia.

I poszła.

Wyjrzałam za nią na korytarz i prawie wpadłam na Malwinę i Sterlinga.

– Przepraszamy za to światło – powiedziała Malwina. – Suszarka wpadła mi do wanny.

– Mam nadzieję, że nikogo w niej nie było – zauważyłam. Sterling nie słuchał.

– Jeśli on mi dziś nie podpisze papierów, że jestem współproducentem tego programu, wyjeżdżam! – pieklił się. – W co ty mnie wpuściłaś, Malwina? To miał być czysty interes. Wkładałam dwa miliony, wyjmuję dwa miliony i wpływy z rozpowszechniania. A teraz nawet nie wiadomo, czy show powstanie.

– Mogę dostać herbatę? – jęknęła Malwina. – Albo nie, coś mocniejszego.

Gestem wskazałam, żeby weszli. W końcu kilka osób więcej w kuchni nie robiło już różnicy.

– Whisky? – zaproponowałam.

Oboje jak na komendę skinęli głowami. Nalałam im solidne porcje. Sterling wychylił swoją duszkiem, Malwina ledwo umoczyła wargi.

– Wybieraj – rzucił groźnie Sterling. Najwyraźniej whisky nie złagodziła jego nastawienia. Zresztą co się dziwić, wystarczy spojrzeć na szkockich górali.

– Misiu, nic nie rozumiesz – westchnęła Malwina. – Jeśli powiem Tadziewi...

– Przestań mi tu tadziować – zirytował się Sterling.

– Jeśli powiem Tadeuszowi, że jesteśmy razem, to on się wzburzy i da rolę tej małpie Soni – wyjaśniła Malwina.

– A jeśli tego nie zrobisz, to ja się wzburzę i nie będzie żadnej roli do dawania, bo wycofam pieniądze. – Sterling walnął pięścią w stół, aż podskoczyła kapusta.

Sam nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę, ponownie wychylił duszkiem i wybiegł, trzaskając drzwiami.

– Nie wiem, co robić – szepnęła Malwina i wygięła usta w podkówkę. Myślę, że na mężczyznach robiło to piorunujące wrażenie, ale nie na mnie.

– Kocha pani Tadeusza? – Przeszłam do rzeczy. Kolacja sama się nie robi, jeśli wszyscy uznają, że kuchnia to kozetka, na której mogą opowiadać o swoim życiu i problemach.

– Jest miły – westchnęła. – Obiecuje mi rolę.

– Czyli kocha pani Sterlinga?

– Też jest miły i zabiera mnie w takie ładne miejsca.

– Czyli też nie. Woli pani rolę czy ładne miejsca?

– Nie wiem. – Znowu wygięła buzię w podkówkę. – Tak trudno mi zdecydować... Ale jak Marek się rozgniewa i zabierze pieniądze, to nie będzie ani tego, ani tego.

Nie sposób było odmówić jej logiki.

– Załatwię to – powiedziałam.

Rozdział 8

Ludzie to niezwykle stworzenia. Zawsze tak uważałam. Kiedy spróbujecie wytłumaczyć psu goniącemu kota, że ten kot bardzo go lubi – prawdopodobnie zignoruje wasze wynurzenia. Podobnie kiedy powiecie kotu, że pies to jego największy przyjaciel – raczej nie pomyśli, że to prawda.

Z ludźmi jest inaczej. Nie uwierzycie, do czego są gotowi, kiedy powie im się, że zapiekły wróg układa na ich cześć poematy i sławi ich cnoty. Kiedy weszłam do ślicznej chatki prezes Jelonek, nie miałam wątpliwości, że mi się uda.

Faustyna Jelonek siedziała z laptopem przy starym stoliku stojącym pod oknem z widokiem na jezioro. Zdążyłam zauważyć, że miała otwarty pasjans, zdaje się, bez szans na końcowy sukces. Usłyszała mnie, zatrzasnęła laptop i z ważną miną rzuciła się przeglądać jakieś papiery.

Dopiero po chwili podniosła wzrok.

– Moje dziecko, doszły mnie słuchy, że w tym domu przebywa osobnik, którego nie chciałabym widzieć na oczy, zwłaszcza na kolacji.

– Mnie też doszły takie słuchy. – Skinęłam głową. – Myślałam, żeby usadzić go z zupełnie innej strony stołu...

– Chyba pod warunkiem, że ten stół znajdowałby się w zupełnie innym pomieszczeniu, w zupełnie innej miejscowości – prychnęła Jelonek.

– ...i jakież było moje zdumienie, gdy pan Henryk, bo o nim, jak sądzę, mówimy, zaczął opowiadać o pani niezwykle rzeczy.

– Już ja wiem, co on opowiada – mruknęła prezes Jelonek. – Może niektórzy uważają, że się skończyłam, ale

nadal mam swoich ludzi w różnych miejscach.

– Pan Maciąg opowiadał, że to dzięki pani polska telewizja wkroczyła w dwudziesty pierwszy wiek o dziesięć lat wcześniej. Mówił, że jest pani osobą z wizją, nieludzko wprost inteligentną...

– Dotychczas prezentował raczej odmienne poglądy – skrzywiła się prezes Jelonek.

– Też tak słyszałam. Ale podobno kiedy zaczął zbierać materiały do nowej książki, okazało się, że jest zmuszony zrewidować swoje stanowisko.

Przez moment wydawało mi się, że przesadziłam. Cisza się przeciągała, w końcu prezes Jelonek podniosła głowę.

– Więc już nie pisze tych okropnych paszkwili?

– Zajmuje się historią telewizji. Skrycie marzy, żeby zrobić z panią wywiad.

Mina prezes Jelonek pokazywała, że nie do końca w to wierzy.

– Ludzie się zmieniają – dorzuciłam, choć moje doświadczenie mówiło mi coś wręcz przeciwnego. Ale miałam przed sobą cel: musiałam ich wszystkich usadzić przy stole tak, żeby się nie pozabijali. Od kiedy Zofia próbowała mi to wytłumaczyć zaraz po przyjeździe, zrozumiałam, że to nie przerośnia. – Mówi też wszystkim znajomym, że pomylił się w pani ocenie. Z tego co słyszałam, zresztą zupełnie przypadkowo, uznał, że byłaby pani znakomitą ministrami kultury w kolejnym rządzie.

– A to dobre! – Zaśmiała się prezes Jelonek i bacznie na mnie spojrzała. – Tak się wyraził?

– Dokładnie tak. Dodał z żalem, że zapewne nie zgodziłaby się pani, bo telewizja jest całym pani życiem.

– Oczywiście, oczywiście. Ale to miło, że wreszcie ktoś

człowieka docenia – westchnęła. – Nawet jeśli uznanie przychodzi z tak nieoczekiwanej strony. Dobrze, pójdę na tę kolację. Zobaczymy, co tam się wydarzy.

Uśmiechnęłam się i wyszłam.

Tak jak obiecałam, porozmawiałam ze wszystkimi gośćmi. Nie było to proste, bo na każdego z nich musiałam się natknąć niby przypadkiem i o ich pragnieniach wspomnieć mimochodem.

Tadeusz Walenty dowiedział się ode mnie, że Malwina jest w nim zakochana, prezes Jelonek wprost marzy o sfinansowaniu jego reality show i serialu, a Zofia już mu wybaczyła. A jeśli chodzi o Malwinę, to porzuciła Sterlinga, któremu wcale to nie przeszkadza.

Zofia dowiedziała się, że historia z Malwiną to nieporozumienie, a Tadeusz wszystkim powtarza, że ma najlepszą żonę na świecie.

Malwinie wspomniałam, że ma zapewnioną rolę, a zarówno Tadeusz, jak i Sterling są w niej nieprzytomnie zadurzeni, choć, dziwnym trafem, żaden nie jest zazdrosny.

Sonia usłyszała, że nie ma mowy, by Malwina ją wygryzła, i Tadeusz osobiście za to ręczy.

Nawet Surmacz załapał się na akt mojej dobroci: powiedziałam mu, że Walenty, pod ogromnym wrażeniem jego talentów, zamierza wkręcić go do świata filmu i mianować producentem wykonawczym. Bo tak zorganizowanego i uczciwego człowieka ze świecą szukać.

Nie będę was zdręczać szczegółami dekoracji. W każdym razie po całodziennych staraniach jadalnia wyglądała

niczym chata króla Piasta. Drewno, wiklina, len, deski, polne kwiaty.

Wasiak, nadal z wąsami i w sukmanie, stał na drabinie i montował ostatnie girlandy. Ja powtarzałam: „Bardziej w lewo”. Surmacz trzymał drabinę.

– Jeszcze tylko rusałki brakuje – mruknęłam.

Zdarza się, że pewne słowa padają w złym momencie. Kiedy tylko wspomniałam o rusałce, do pokoju wkroczyła Malwina. A właściwie wpłynęła, w powłóczystej, długiej sukni. Rusałkę przypominała również tym, że one są zazwyczaj gołe od pasa w górę. Suknia Malwiny co prawda istniała w tych rejonach, ale w szczątkowej formie.

Wasiak nie spuszczał wzroku z jej biustu, kiedy płynęła wzdłuż stołu.

– Pan lepiej uważa – powiedziałam, ale za późno.

Wasiak przesunął stopę w miejsce, gdzie zamiast szczebla było powietrze, i zwałił się z drabiny.

Zawsze wiedziałam, że rusałki przynoszą pecha.

– Ojej – jęknął Wasiak.

Surmacz chciał go dźwignąć z podłogi, ale Wasiak trzymał się za krzyż.

– Na SOR – zaordynowałam. – Trzeba zrobić rentgen. Raz, raz. Najbliższy szpital jest chyba w Olsztynie.

– Ja mam go zawieźć? – zdziwił się Surmacz.

– No przecież nie ja – uświadomiłam mu. – Chyba że sobie poradzisz z utrzymywaniem gości w bezpiecznej odległości od siebie.

– To już lepiej pojedę – mruknął zrezygnowany. – Chociaż spóźnię się na kolację.

– Aj, au, ojej – wystękał Wasiak i obaj wyszli.

Stół na szczęście był ogromny i gości dało się rozsadzić w bezpiecznej odległości, bo nie byłam pewna, ile potrwa ta ich wzajemna miłość. Na środku stanęły wielkie bukiety. Ustawiłam je tak, by główni przeciwnicy nie widzieli się przez większość czasu. Po co kusić los?

Wszyscy goście podziwiali dekorację i nawet Walenty niepewnie rozglądał się po wnętrzu, jakby widział je po raz pierwszy. Co było poniekąd prawdą.

– Pani Łucjo... nie, Lucjo. Jestem pod wrażeniem.

Dostrzegł Sonię i otworzył szeroko oczy.

– Dobrze, że to nieszczęsne nieporozumienie już za nami – westchnął.

– Och, tak. I muszę ci powiedzieć, że jestem zaskoczona. Nie spodziewałam się tego po tobie – rozanieliła się Sonia.

– Drobiazg. – Walenty się uśmiechnął. – Ja też się cieszę, że zrozumiałaś moją motywację.

– Tak, to wspaniały plan.

– Och, nie przesadzajmy, ale jestem z niego dumny.

– Ale skąd wiesz, że tak bardzo mi na tym zależało?

Zdecydowałam, że trzeba interweniować.

– Panie Tadeuszu, przyszli panowie Lewy i Maciąg.

– Bracie mój! – Tadeusz niemal zgniótł w uścisku Lewego, który potrząsnął energicznie jego dłonią.

– Niezmiernie się cieszę, że tak się sprawy ułożyły – powtarzał Walenty.

– Nie, skądże, to ja jestem absolutnie zachwycony – odpowiadał Lewy.

– Pani prezes Jelonek nie może się wprost doczekać spotkania z panem – szepnęłam na ucho Maciągowi. Ten aż podskoczył.

– Jest pani pewna? – odszepnął.

– Proszę tylko na nią spojrzeć. – Wskazałam bohaterkę wieczoru, która właśnie wkroczyła do sali. Podeszłam do niej, zanim zdążył zrobić to Maciąg.

– Pan Henryk nie może się nachwalić pani ostatnich decyzji programowych. Jestem pewna, że słowo „majstersztyk” padło co najmniej cztery razy.

– Naprawdę? – Uniosła brwi. – W moim wieku pochlebstwa nie robią już wielkiego wrażenia. Ale o czym konkretnie pan Maciąg tak się wyraził, i to cztery razy?

– O show dla dzieci, reality show dla złotych rączek, serialu o powstańcach walczących z Rosjanami w dziewiętnastym wieku... – wyliczałam.

Lekki uśmiech na twarzy prezes Jelonek sprawił, że odetchnęłam.

– Panie Henryku! – Skinęła na Maciąga, który, niczym pociągnięty niewidzialną liną, natychmiast znalazł się u jej boku.

– Naprawdę muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem pana ostatnich dokonań – stwierdziła.

– Och, cóż, robi się raz to, raz owo. – Maciąg machnął dłonią, że to niby nic takiego, ale poczerwieniał z zadowolenia.

– A jednak mnie pan zaskoczył – ciągnęła prezes Jelonek. – Trzeba naprawdę mieć jaja, żeby to zrobić.

– Tak pani sądzi? – ucieszył się Maciąg. – Staram się, jak mogę. I właściwie mam kilka pomysłów na stanowisko dyrektorskie.

– Naprawdę? – zdumiała się nieco Jelonek.

– Tak, dyrektor to przecież ktoś z wizją. Ktoś, z kim pani bezpośrednio kreuje to, co podpowiada pani wyobraźnia.

– No, z pewnością – zauważyła Jelonek ostrożnie, ze

zdziwieniem obserwując Maciąga.

– Pewnie patrzy pani na takiego dyrektora i zastanawia się, jakie myśli roją mu się w głowie – strzelił Maciąg. – Czy ma on wizję, która się pani spodoba. Czy ma to, czego pani oczekuje. Czy to człowiek przebojowy, pełen sił witalnych, ale siedzący od dawna w świecie filmu, no i z dużym doświadczeniem.

– Owszem, często się nad tym zastanawiam. – Jelonek patrzyła niepewnie na Maciąga, jakby zastanawiała się raczej, czy ten nie rozpali ogniska na środku sali.

– Myśli pani, czy tego człowieka dobrze mieć po swojej stronie. Bo gdyby był po przeciwnej, stałby się wrogiem. I dzięki swej przenikliwości wybiera pani przyjaźń.

– No... tak – wystękała prezes Jelonek i po raz pierwszy zobaczyłam ją zbitą z tropu. – Zaskoczyło mnie, że wybrał pan taki temat na książkę.

– No cóż, jest nośny. – Maciąg się uśmiechnął. – Porusza serca i dusze Polaków.

Jednak wcześniej się pomyliłam. Dopiero teraz prezes Jelonek naprawdę oniemiała.

– Wygląda na to, że mówi pan szczerze – powiedziała wreszcie.

– Ach – uśmiechnął się znów Maciąg – rozumiem, wszystko rozumiem. Lubię omawiać z panią interesy. Jesteśmy umówieni. – Skinął głową i odszedł dostojnym krokiem.

Dopiero teraz zauważyłam, że do jadalni wpadł Surmacz i obserwuje całą scenę z półotwartymi ustami.

– Melduję, że zostawiłem Wasiaka na SOR-ze – zaraportował, na szczęście nie na cały głos, tylko do mojego ucha. – Wróci taksówką. Wujo mu potem odda, wrzuci to

sobie w koszty. – Po chwili zapytał z podziwem: – Ty to zrobiłaś?

Skinęłam głową.

– Ale jak?

Wzruszyłam ramionami. Gdybym każdemu opowiadała o swoich sposobach, nie zarabiałabym tyle, ile zarabiam.

– I teraz on napisze jej biografię? – zapytał.

– Możliwe – przyznałam.

– Ale co się stanie, kiedy przyjdzie do niej z książką i będzie chciał swoją posadkę? Ona mu jej nie da.

– Też możliwe – zgodziłam się.

– Będzie awantura.

– Nie da się wykluczyć.

– I co zrobisz?

– A co mam zrobić? – zdumiałam się. – Przecież nikogo do niczego nie zmuszam.

Chciał coś odpowiedzieć, ale Tadeusz Walenty klasnął w dłoń.

– Panie i panowie, proszę siadać. Za chwilę zjemy wspaniałą kolację. Niezmiernie się cieszę, że widzę państwa wszystkich na moich sześćdziesiątych urodzinach. Podobno sześćdziesiątka to nowa trzydziestka. Dla mnie to początek nowego życia. Na zdrowie!

Stuknęły kieliszki. Z niekłamaną satysfakcją odetchnęłam.

Półmiski zaczęły krążyć. Walenty od razu rzucił się na bigos.

– Może nóżki w galarecie? – Maciąg kurtuazyjnie zapytał Malwinę.

Ta przełknęła ślinę.

– Och, no wie pan, sama się nie mogę zdecydować: jeść

w końcu to mięso czy nie. Z jednej strony podobno kolagen jest niezbędny dla cery. Ale z drugiej tak mi szkoda zwierzątek...

– Słyszała pani ten dowcip? – spytał Sonię Igor. – Polak, Rusek i Niemiec wędrują po pustyni. Strasznie chce im się pić...

– No właśnie, niech pan poleje – przerwał mu Sterling.

– To jest artysta konceptualny – tłumaczyła Zofia prezes Jelonek. – Uprawia wyłącznie sztuki performatywne.

– Ach, w telewizji to nie przejdzie – westchnęła prezes. – U nas liczy się tylko konkret. I reality show.

Rozejrzałam się. Wszystko szło znakomicie.

Henryk Maciąg wstał i postukał nożem w kieliszek.

– Proszę państwa, cieszę się, że się tu zebraliśmy. Nie było to proste, ale wierzę, że dla przyszłości polskiej telewizji, polskiego filmu i rozrywki warto odłożyć na bok wszelkie animozje. A wszystko to zasługa naszego gospodarza, Tadeusza Walentego. Wznieśmy za niego urodzinowy toast! Tylko, zdaje się, on akurat szuka czegoś pod stołem.

Rozległy się ciche śmiechy. Maciąg zrobił kilka kroków w kierunku szczytu stołu, gdzie siedział Walenty – którego jednak nie było na krześle.

– Tadeuszu, wyjdź już stamtąd. Nie chowaj się przed nami. I tak wiemy, że tam jesteś. Tadeusz? Tadeusz? O mój Boże!

Maciąg wpatrywał się w podłogę z przerażoną miną. Pozostali zerwali się z krzeseł.

– O Boże! – powtórzyła za Henrykiem Zofia Montegabbione.

– Jezus Maria! – wykrzyknął Marek Sterling.

- O nie! – jęknął Piotr Surmacz.
 - Kurwa mać – spuentował Igor Lewy.
 - Jezu – szepnęła Malwina Car.
 - Nie no, naprawdę... – Sonia Weles nie wiedziała, co powiedzieć.
 - Jak to możliwe? – spytała prezes Jelonek.
- Tylko Tadeusz Walenty nic nie powiedział. Leżał spokojnie na podłodze i nie oddychał.

Rozdział 9

– A nie był jeszcze taki stary – westchnął Henryk Maciąg. Ostrożnie podszedł do ciała i zaraz cofnął się o pół kroku, jakby się bał, że ciało wstanie i go ugryzie.

– Zawsze mu mówiłem, że powinien ćwiczyć – dołączył się Igor Lewy. – Cholesterol i proszę. A przecież mają tu dość miejsca na siłownię.

– Może tylko zemdłał – westchnęła Sonia. – Mój wujek kiedyś tak zemdłał w czasie oglądania telewizji.

– A jakiego kanału? – zainteresował się Maciąg.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami Sonia. – Oglądał sport, pewnie na Jedyńce. Oparł się na kanapie i tak dziwnie wytrzeszczył oczy. To były chyba skoki narciarskie.

– Sam kiedyś o mało nie zemdlałem na skokach – przyznał Sterling.

Minęłam ich i przykucnęłam przy Tadeuszu Walentym, który leżał na podłodze z głową opartą o rzeźbioną nogę krzesła. Oczy wciąż miał otwarte, zamarłe w wyrazie zdziwienia. Delikatnie ujęłam go za nadgarstek, próbując wyczuć puls.

– Może zrobić mu sztuczne oddychanie – zaproponował Lewy. – Robiłem kiedyś kurs, dawno, na studiach, ale można znaleźć zasady w internecie. To nie takie trudne, tylko zapomniałem, co ile ucisków trzeba denatowi wdychać powietrze. To znaczy jeśli nie jest jeszcze denatem.

– Obawiam się, że jest – powiedziałam ponuro. – Brak pulsu.

– No to trzeba wezwać karetkę – zawyrokowała prezes Jelonek.

– Ale karetka tu nie pomoże, pani prezes – zauważył Maciąg.

– Można wezwać karawan – podsunął Surmacz. – Mam nawet numer w komórce.

Do ciała przepchnęła się Zofia.

– Tadeusz! – zawołała. – Tadeusz!

– On nie odpowie, bo nie ma pulsu – zwrócił uwagę Surmacz.

Zofia chyba nie usłyszała, uklękła przy ciele i podniosła dłonie.

– Tadeusz! Dlaczego mi to zrobiłeś?

Surmacz otworzył usta, ale pogroziłam mu palcem, więc posłusznie je zamknął.

– To straszna tragedia, ale czy Tadeusz zostawił jakieś wytyczne w sprawie obsady? – zapytała cicho Sonia.

– Wspominał, że zamierza powierzyć mi główną rolę – odparła Malwina, również szeptem.

– Chyba mnie! – ucięła Sonia.

– Cicho, stoimy nad jego grobem – uciszył je Maciąg.

– Technicznie rzecz biorąc, to nie jest grób – zauważyłam.

– Był człowiek, nie ma człowieka. Przypomina mi się *Hamlet* – westchnął Lewy. – Swoją drogą, czy to nie wspaniały temat na scenariusz?

– Może podłożyć mu poduszkę pod głowę? – zastanowiła się Sonia.

– Przecież jemu jest już wszystko jedno – zauważyła zgryźliwie Malwina.

– No tak. Ale to jednak niezbyt wygodnie z głową na tej nodze od krzesła. Ja bym wołała mieć poduszkę.

Odeszłam kilka kroków na bok i zadzwoniłam pod sto

dwanaście. Operator obiecał, że karetka pojawi się niedługo.

Zebrani odsunęli się trochę od ciała.

– To był niezwykły człowiek – mówił Henryk Maciąg. – Wiecie, że po raz pierwszy spotkaliśmy się dwadzieścia lat temu? Ja byłem jeszcze na studiach, a Tadeusz chciał produkować filmy. Powiedziałem mu wtedy: „Musisz spróbować. Jeśli nie spróbujesz, nigdy się nie dowiesz, jak to jest”. I wiecie co? Posłuchał mojej rady. Potem jeszcze wiele razy zwracał się do mnie w trudnych chwilach. Przyszedł załamany, kiedy nie dostał Orłów w Gdyni. Dałem mu koniaku i zachęciłem, żeby nie rezygnował. I wiecie co? Posłuchał mnie. Koniak też mu smakował.

– Pamiętam, że chciałam mu powierzyć produkcję tego filmu o polskich chuliganach – westchnęła prezes Jelonek.

– Wiecie, tego, który potem dostał nagrodę za dokument. Uznałam, że to doskonały temat. Ważny społecznie.

– I wyprodukował go? – zainteresowałam się.

– A nie, dałam to w końcu komu innemu – skrzywiła się prezes. – Tadeusz nie miał ręki do dokumentów. Zepsułby tylko.

W oknie pojawiły się błękitne rozbłyśki światła. Po chwili mały, okrągłutki człowieczek w czerwonym uniformie przepchnął się do leżącego ciała.

– Proszę się odsunąć. – Chwycił Walentego za nadgarstek, potem osłuchał mu stetoskopem klatkę piersiową.

– Proszę państwa, on nie żyje – zakomunikował.

– W scenariuszu to by nie zagrało – mruknął Lewy. – Wszyscy wiemy, że nie żyje, nie ma sensu powtarzać. Nie będzie już bardziej nieżywy.

– Dostałem zlecenie na żywego – sumitował się lekarz. – Podobno były jeszcze oznaki życia. Dlatego szybko przyjechaliśmy, a tu już po sprawie.

Spojrzałam na stół. Na talerzu Walentego leżała solidna porcja bigosu. Zmarł, jedząc ulubioną potrawę.

– Nic tu po mnie. Wypiszę akt zgonu i znikamy – perorował okrągły doktorek.

Bigos wyglądał apetycznie. Nie mogło być inaczej, w końcu sama go przyrządziłam. Pochyliłam się nad garnkiem stojącym na podgrzewaczu i powąchałam.

Skręciło mnie z głodu. Przez cały dzień tylko gotowałam i spełniałam życzenia, nie miałam czasu porządnie zjeść.

Zamieszałam, żeby nie przypaliło się od spodu, zgarnęłam ze stołu jakiś czysty talerz i nałożyłam sobie porcję.

– Oczywiście trzeba zadzwonić do zakładu pogrzebowego – dokończył lekarz.

Bigos był przepyszny. Trochę sypnęło mi się jałowca, ale doskonale pasował do wiejskiego charakteru rezydencji. Śliwki i kawałki jabłka podkreślały smak...

Nagle zamarłam z pełnymi ustami.

– To my będziemy już jechać, proszę koniecznie... – mówił lekarz, ale nie dałam mu skończyć.

Przełknęłam i spytałam:

– Chwileczkę. Jaka jest przyczyna zgonu?

– Wygląda mi na atak serca. – Lekarz nie sprawiał wrażenia zainteresowanego. Stwierdza zawał pewnie u co drugiego zmarłego.

– A czy występuje przy tym pokrzywka na twarzy i dłoniach? – zainteresowałam się.

– Niekoniecznie – przyznał lekarz. – Czy denat cierpiał

na jakieś alergie?

– Mąż był uczulony na orzeszki ziemne – wtrąciła Zofia. Siedziała w fotelu i wachlowała się, o ile dobrze zauważyłam, kawałkiem papierowego abażuru jednej z lamp. – Ale nigdy żadnego by nie zjadł, wiedział o tym!

– Przed chwilą w bigosie znalazłam to. – Wyciągnęłam dłoń, na której trzymałam kawałek orzeszka.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Nie ukrywam, lubię być w centrum uwagi. Choć leżące obok zwłoki Tadeusza nie stanowiły najlepszej scenerii do odgrywania pierwszoplanowej roli.

– Najsilniej alergizujący orzeszek ziemny. Pan Tadeusz Walenty zjadł bigos z orzeszkami. To było morderstwo – kontynuowałam.

– Zabiłaś go? Dlaczego? Co takiego ci zrobił? – zawołała wstrząśnięta Zofia.

Hm, nie o taki rodzaj uwagi mi chodziło.

Rozdział 10

Oglądaliście te amerykańskie seriale? Jest trup, ekipa techników, grupa detektywów. Detektywi mają skomplikowaną sytuację rodzinną, problemy z alkoholem, rozwodzą się, dorabiają na boku, krótko mówiąc: same kłopoty. Ale to nieważne. Ważne jest, że odkrywają zagubiony włos, kawałek nitki lub grudkę ziemi i mówią: „Aha, podejrzany w ciągu ostatnich dwunastu godzin był w miejscu, gdzie stosowano bardzo rzadki nawóz do róż, którego używa tylko stary Bill”.

Aspirant Konieczny najwyraźniej też te seriale oglądał.

Potrząsnął energicznie moją dłoń. Nie wyglądał na glinę. Był koło trzydziestki, ubrany w sportową kurtkę, dzinsy, na nogach miał vansy. Uśmiechał się od ucha do ucha i ciągle się rozglądał, jakby był w kaplicy Sykstyńskiej, a nie na miejscu zbrodni.

– To gdzie mamy nieboszczyka? – Zatarł ręce, zachwycony sytuacją.

Wskazałam mu miejsce pod stołem, gdzie wciąż spoczywały zwłoki. Ktoś jednak wsunął Tadziowi pod głowę poduszkę, różową, z wyhaftowanym motywem kwiatów jabłoni.

Konieczny okrążył zwłoki najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem w przeciwną stronę. Zbliżył się i uważnie im się przyjrzał.

– Czy ktoś dotykał denata? – zapytał z ważną miną.

– Myślę, że wszyscy – oznajmiłam. – Kilkanaście razy. Nie licząc poduszki. Nie wiem, czy już się pan domyślił, ale pan Tadeusz nie osunął się szczęśliwym trafem akurat na

leżącą na podłodze poduszkę.

– To bardzo niedobrze. Powinien zostać tam, gdzie upadł – wyjaśnił mi Konieczny. – To kontaminacja miejsca zbrodni. Jeśli oczywiście śledztwo potwierdzi, że mamy do czynienia z morderstwem.

Westchnęłam ciężko, uznając, że już nadeszła pora na rozwianie jego złudzeń.

– Umarł na skutek szoku anafilaktycznego – wyjaśniłam. – Mógł w związku z tym upaść dowolnie: na bok, na plecy albo nawet na twarz. I tak, to było morderstwo. Wszyscy wiedzieli, że jest uczulony na orzeszki ziemne.

– Ale to właśnie pani przygotowała bigos, który prawdopodobnie go uśmiercił. – Spojrzał na mnie oskarżycielsko. – Dla mojego przełożonego, inspektora Wąskiego, sprawa jest jasna. Powiedział, że mam sprawdzić, kto gotował, zgarnąć winną i wracać na komendę.

Seksista! Skąd to założenie, że gotować musiała kobieta?!

– Dla pana też sprawa jest jasna? – spytałam.

– Muszę posprawdzać ślady – odparł wymijająco. – A to nie jest proste. Każdy tu łązi, jak chce. W *CSI* to nie do pomyslenia.

– Ogląda pan?

– Jestem fanem – potwierdził moje przypuszczenia. – Niestety, nie mamy takich możliwości jak oni. Wyślemy próbki wszystkich dań do laboratorium, ale będziemy mieli szczęście, jeśli wyniki przyjdą za miesiąc. I brakuje nam ludzi, zabezpieczają jakieś koncerty, zaginęły dwie dziewczyny... Krótko mówiąc: jestem ja. I Władek. Władek,

chodź tu.

Do jadalni wszedł policjant w mundurze. Miałam wrażenie, że już go gdzieś widziałam.

– Stań na zewnątrz i pilnuj, żeby nikt nie opuścił budynku – zarządził Konieczny.

– Tak jest – zawołał policjant i wymaszerował z jadalni.

– Ludzie wołają na niego „Gustlik” – westchnął Konieczny i wszystko stało się jasne. – Świetnie mu wychodzi to „tak jest”, ale niewiele więcej. Nie chcieli go do zabezpieczania koncertu, więc ja go dostałem. Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co tu zaszło. Może w kuchni. Bo zdaje się, że to tam ktoś musiał dodać truciznę do jedzenia. Tam bym posłał ekipę, jakbym ją miał. W *CSI* nie do pomyslenia. Niech się pani odwróci.

– Będzie pan sikał?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Będę robił zdjęcia ciała – wyjaśnił.

– I mam na to nie patrzeć?

– A pamięta pani, jak w *CSI* policyjny fotograf robi zdjęcia?

Zastanowiłam się.

– Chodzi facet w białym kombinezonie, z wielkim aparatem i lampą błyskową, i pstryka. Teren zbrodni jest odgradzony taśmą i...

– No właśnie. A ja nie mam kombinezonu, bo wszystkie są w czyszczeniu i wrócą za dwa tygodnie. I nie mam aparatu, bo zabrali ci, co szukają dziewczyn. Więc po prostu zrobię zdjęcia komórką. A pani się odwróci i będzie udawać, że tego nie widziała.

Pochylił się nad leżącym Tadeuszem i pstryknął kilkanaście fotek.

– A taśma? – zainteresowałam się. – Odgradzimy ciało taśmą?

– Chodźmy do tej kuchni – mruknął. – Niczego nie będziemy odgradzać. Zaraz przyjadą ludzie z zakładu pogrzebowego i je zabiorą.

– Czyli nie ma taśmy? – domyśliłam się.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. – Skrzywił się. – Przydział starcza nam zwykle do kwietnia.

W kuchni Konieczny znowu zaczął się rozglądać, jakby z kaplicy Sykstyńskiej przeniósł się do Muzeum Watykańskiego.

– Kto prócz pani mógł dodać coś do bigosu? – zapytał.

– Wszyscy – odparłam zgodnie z prawdą. – Absolutnie każda z osób przebywających w domu była dzisiaj w kuchni z jakąś ważną sprawą.

– A czy pani...

– Czy zauważyłam, że jedna z nich sięga ukradkiem do kieszeni, wyjmuje coś i wsypuje do bigosu?

– Dokładnie tak! – Ucieszył się, że go zrozumiałam.

– Zastanówmy się. – Spojrzałam w sufit. – Ktoś wchodzi, wyjmuje paczkę orzeszków ziemnych, wrzuca, miesza... Nie, niestety nie zauważyłam. Gdybym zauważyła, zapewne bym powiedziała: „Chwileczkę, co pan – albo pani – wrzuca do mojego bigosu?”. Lub coś podobnego, co mówi się, kiedy nakryje się obcą osobą mieszającą w bigosie.

– No tak. – Konieczny westchnął i otworzył notes. – Będę ich musiał osobiście przesłuchać. Ile tu jest osób? Czy ktoś miał z kimś jakiś problem? Żona zamordowanego?

– Zazdrosna o aktorkę.

– Którą aktorkę?

– W zasadzie o dwie – wyjaśniłam.

– Obie są tutaj?

– Tak. – Pokiwałam głową. – Z tym że obie są też zazdrosne o siebie nawzajem.

– Te aktorki, a nie żona?

– Żona o nie, a one o siebie.

– O siebie. – Zapisał w notatniku i spojrzał na mnie błędnym wzrokiem.

– A obie miały pretensje do pana Tadeusza. Chodziło o rolę. Aha – przypomniałam sobie. – O jedną z tych aktorek jest jeszcze zazdrosny jej chłopak.

– Ona przyjechała do denata, który był jej kochankiem, ze swoim chłopakiem?

– Nie mówiła denatowi, że to jej chłopak, a chłopakowi nie powiedziała, że denat, to znaczy wtedy jeszcze nie denat, to jej kochanek. Ale można to tak podsumować – stwierdziłam.

– I oni wszyscy byli w kuchni?

Skinęłam głową.

– Poza tym zajrzała tu jeszcze para sympatycznych panów. Pan Maciąg i pan Lewy. Oni nie mogli się natknąć na prezes Jelonek.

– Bo byli zazdrośni? – zdumiał się Konieczny.

– Prezes Jelonek nie znosi pana Maciąga. To długa historia. W każdym razie miałam trzymać ich od siebie na dystans.

– A oni mieli coś do denata?

– Pan Lewy nie dostał przez niego Oscara.

– Tego Oscara? – Konieczny wybałuszył oczy.

– Tak. Bo, jak krążą słuchy, pan Tadeusz ukradł panu Lewemu pomysł na scenariusz. I pan Lewy tak się tym

przejął, że do tej pory nie może wymyślić nic równie dobrego. To mógłby być motyw, prawda?

Pytanie było retoryczne. Ale Konieczny wydawał się miłym facetem, chciałam, żeby też miał swój udział w śledztwie.

Pokiwał głową i otarł pot z czoła.

– A Maciąg?

– Po prostu nie lubili się z panem Tadeuszem.

– A prezes Jelonek?

– Miała mu dać program, inaczej byłby bankrutem. A on ją szantażował, że jak nie dostanie programu, ujawni, że prezes Jelonek brała łapówki. Od niego samego.

Konieczny opadł na krzesło.

– Więc ten cały Walenty zaprosił do domu gromadę ludzi, z których każdy miał ochotę nafaszerować go arszenikiem albo zrzucić ze schodów.

– Tak – przyznałam mu rację. Niech się cieszy.

– Zwariował? – zapytał Konieczny.

– Nie, dzień jak co dzień – wyjaśniłam. – Z tego co wiem, to po prostu było zwykłe spotkanie robocze, jakich wiele.

Spojrzał na mnie spode łba.

– A pani kim właściwie jest?

– Lucja Słotka, Home Disaster Manager. – Podałam mu wizytówkę.

– Nie za bardzo udało się pani uniknąć katastrofy – westchnął.

Wzruszyłam ramionami.

– Jeszcze nie skończyłam pracy.

– Wszyscy mieli motyw i sposobność. – Pokiwał głową. – A ja mam znaleźć mordercę.

– Możemy znaleźć go razem – zaproponowałam.

– Dlaczego razem?

– Bo panu pomyłką się aktorki. No proszę, potrafi pan powiedzieć z głowy, która grała w serialu *Boskie oko*, a która nie, ale była o to zazdrosna?

Na jego czole pojawiły się nowe krople potu.

– Niech będzie – mruknął. – Pewnie i tak poradzi sobie pani lepiej niż Władek.

Pytanie brzmiało, czy on poradzi sobie lepiej niż Władek. Postanowiłam jednak dać mu szansę.

Rozdział 11

Czy zastanawialiście się kiedyś, co byście robili tuż po stracie małżonka? Lub małżonki?

To, co robiła Zofia, zaskoczyło mnie całkowicie, a niewiele rzeczy mnie zaskakuje.

Kiedy następnego ranka wkroczyłam z Koniecznym do salonu, Zofia Montegabbione wieszała na ścianie wielki obraz. Chybotwała się na samym szczycie drabiny, klnąc, wcale nie po cichu, i usiłując nasadzić ramę na wystający ze ściany haczyk. Bezskutecznie.

– Pomogę – zaofiarował się Konieczny.

Zofia nie zwróciła na niego uwagi, tylko westchnęła z ulgą, bo obraz wreszcie zawisł na ścianie. Ostrożnie zeszła z drabiny i cofnęła się o kilka kroków, żeby popodziwiać swoje dzieło.

– Dobrze wygląda, prawda?

Konieczny wydał z siebie pomruk, który chyba miał być wyrazem aprobaty.

– O wiele lepiej niż tamten. – Zofia wskazała głową inny obraz oparty o ścianę. Przypomniałam sobie, że wcześniej to on wisiał na honorowym miejscu. Przedstawiał kilku uśmiechniętych ułanów. Jeden prężył się wesoło na koniu, dwóch siedziało pod drzewem, rozmawiając radośnie, a czwarty trzymał konia i ewidentnie zamierzał na niego wskoczyć.

– Całe lata mówiłam Tadeuszowi, że ułani tutaj nie pasują. No sami powiedzcie!

Uznałam, że nie oczekuje odpowiedzi. I rzeczywiście, Zofia kontynuowała monolog.

– A on się upierał, że ten na koniu to być może jego dziadek. A potem wręcz, że to dziadek, bez „być może”. I że nie zdejmie dziadka ze ściany. Straszny bohomaz. Wstyd pokazać ludziom coś takiego. Zero wartości artystycznej, aż oczy bolą. Bolą oczy, prawda?

Oboje z Koniecznym skinęliśmy głowami.

– Ten nowy jest dużo lepszy!

Nowy obraz – ogromnych rozmiarów – był abstrakcją. Plamy, w większości purpurowo-czerwone, zdawały się rozsadzać ramy. Twórca postanowił wykończyć dzieło, chlapiąc z daleka farbą, a potem dodał jeszcze kilka czarnych linii.

– Cudem udało mi się go kupić, naprawdę – westchnęła Zofia. – To *Kosmos IV*. Poprzednie *Kosmosy* rozeszły się na pniu, to bardzo wzięta malarka, Justyna Zielińska. Namawiałam Tadeusza całymi miesiącami, żeby powiesić *Kosmos IV* i wyrzucić tych ułanów, albo żeby chociaż trzymał ich sobie w gabinecie. A on odpowiadał: „Po moim trupie” – westchnęła. – No, ale wreszcie się udało.

Zerknęłam na Koniecznego, którego oczy zrobiły się bardzo okrągłe.

– A więc spierali się państwo o ten... *Kosmos*. I wreszcie... się udało?

– Och, żeby pan wiedział, ile ja sobie nerwów napsułam przez tych ułanów. Kiedyś odmowa Tadeusza tak mnie zdenerwowała, że rzuciłam w niego kałamarzem. Niestety zdążył się uchylić.

– Ach, tak – mruknął Konieczny.

– Rozumie pan chyba, jak byłam wzburzona. Ale kto by nie był? Gdyby pana żona powiesiła w salonie tych strasznych ułanów, na pewno też by pan czymś rąbnął. Kto

nigdy nie miał ochoty zamordować małżonka albo małżonki za bohomaż na ścianie, niech pierwszy rzuci kamieniem – zakończyła teatralnie.

– Właściwie to powiesiła – chrząknął Konieczny. – Tylko jednego, odziedziczyła po ojcu.

– Sam pan widzi – prychnęła Zofia. – Rodzi się wtedy w człowieku pragnienie, żeby zedrzyć obraz ze ściany i rozbić go na głowie tego, kto powiesił.

– Żonie się podoba, więc wisi – westchnął Konieczny. – Wracając jednak do sporów między panią a mężem...

– Ot, drobna różnica zdań, nie ma o czym wspominać. – Zofia machnęła ręką.

– Dotycząca aktorki, w której łóżku miał się znajdować pani mąż? – indagował Konieczny.

– Takie rzeczy przecież wciąż się zdarzają. Mężczyźni muszą się wyszaleć. Jedna aktorka więcej, jedna mniej, to nie ma znaczenia. Jestem pewna, że gdyby znalazł pan swoją żonę w łóżku z jakimś facetem, też wyjaśniłby pan sprawę i przeszedł nad nią do porządku.

Konieczny odchrząknął.

– I pani przeszła?

– Zapomniałam o całej historii pięć minut po wyjściu z pokoju. Mężczyźni już tacy są. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Lubi pani orzeszki? – wtrąciłam.

Zofia nagle spłoszyła i zaczęła nieco nerwowo omiatać ułanów stojących przy ścianie miotełką do kurzu.

– Lubię. To znaczy jadam orzeszki tylko jednej firmy, „Orzech do zgryzienia”. Zawsze są idealnie świeże i próżniowo zapakowane. Nie uwierzą państwo, ale okazało się, że nasz wiejski sklepik je sprzedaje. Orzeszki są bardzo zdrowe. Zawierają mnóstwo mikroelementów, poza tym

wspomagają pracę mózgu. Nie mówiąc o tym, że są składnikiem wielu diet. Mam dużo książek o dietach i na przykład dieta keto...

– Czyli wiedząc, że pani mąż ma silną alergię, kupiła pani orzeszki – wszedł jej w słowo Konieczny.

– To był impuls. Skoro kupowałam mleko i płatki, gdy zobaczyłam orzeszki, też wrzuciłam je do koszyka. Ale ja, proszę pana, nigdy przecież nie dosypałabym ich mężowi do bigosu. No skąd! Sama powtarzałam Lucji, że nawet niewielka ilość orzeszków mogłaby go zabić. Kochana, powtarzałam, prawda?

Powtarzała. To znaczy powiedziała raz i mimochodem, ale to chyba też się liczyło.

– Właśnie go zabiła – przypomniał Konieczny. – Taka dziwna koincydencja.

– Niestety tak, ale to nie były moje orzeszki. Ja ciągle mam nierozpczętą paczkę w swoim gabinecie. Mogę panu pokazać.

– Chodźmy – zaproponował aspirant.

Być może wy przechodziecie do gabinetu w dwie sekundy. Być może w ogóle nie macie gabinetu. W dużych domach przejście z pokoju do gabinetu może jednak zająć wieczność. Tak było i w tym przypadku. Po drodze zdążyłam się dowiedzieć wszystkiego o mikroelementach oraz rodzajach diety wypróbowanych przez Zofię Montegabbione. Jednak każda podróż ma swój kres, więc i my dotarliśmy w końcu pod drzwi.

– Sami zobaczycie, orzeszki są nienaruszone – perorowała Zofia. – Jak się nie otworzy paczki, to nie można dosypać orzeszków do bigosu, prawda? A ja po prostu położyłam sobie tę paczkę na biurku, o tutaj...

Popatrzyłam na biurko. Leżały na nim książki. I jakieś papiery. Stos rachunków. Laptop. Dwie szminki. Puderniczka. I coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak zepsuty wkład z drugiej puderniczki.

Orzeszków jednak tam nie było.

Zapadła chwila milczenia. Przerwała ją Zofia.

– To skandal! Ktoś mi ukradł orzeszki! W moim własnym domu! To już człowiek nie może zostawić sobie na biurku paczki orzeszków i wyjść na chwilę? Co to ma znaczyć? Panie policjancie, musi pan przeprowadzić śledztwo w tej sprawie!

– Gdyby był tu inspektor Wąski, to ta cała Zofia jechałaby już w kajdankach do aresztu – mruknął Konieczny po wyjściu z gabinetu. – Miała motyw, sposobność i te cholerne orzeszki, a teraz ich nie ma. Za dużo koincydencji.

– Wszyscy mieli motyw i sposobność – przypomniałam. – Wchodzili do kuchni, jakby byli u siebie.

Przystanęliśmy, bo na korytarzu otwały się drzwi jednego z pokojów i wyjrzał zza nich Surmacz. Od razu chciał się schować z powrotem, ale Konieczny pokiwał na niego dłonią.

– Czy pan też miał orzeszki?

Najwyraźniej nie spodziewał się, że jego słowa wywołają piorunujący efekt. Surmacz skurczył się i próbował stać się niewidoczny. Nie wyszło mu to.

– Skąd pan wie? – spytał słabym głosem.

Konieczny minął go i wszedł do pokoju, a ja za nim. Surmacz wsunął się za nami. Miałam już wygłosić uwagę o przepuszczaniu kobiet w drzwiach, ale zamurowało mnie, gdy zobaczyłam koszmarny bałagan. Na krześle kilka

podkoszulków i jakieś gacie, rozwieszona na oparciu koszula, na podłodze otwarte książki, siatki foliowe upchnięte pod szafą, a na łóżku rozłożona torba turystyczna i walające się wokół skarpetki.

– Wybiera się pan gdzieś? – Konieczny zmarszczył brwi.

– Nie. Tak. Muszę odwiedzić mamę. Dzwoniła, że źle się czuje.

– Akurat teraz? – Głos policjanta był zimny.

– Może jutro, nie wiem jeszcze. – Surmacz cały się trząsał.

– A orzeszki gdzie? – spytał Konieczny.

Surmacz opadł na łóżko i wskazał na szafę. Wyglądał, jakby miał się rozplakać. Zrobiło mi się go żal. Trochę.

– W tym plastiku? – upewnił się Konieczny. Uklęknął i wyciągnął spod szafy foliową siatkę. Położył ją na biurku i ostrożnie rozchylił ołówkiem.

– Też firmy „Orzech do zgryzienia” – stwierdził, zupełnie niepotrzebnie, bo z miejsca, w którym stałam, doskonale widziałam napis na paczce.

– To najlepsza firma na polskim rynku – zapewnił go żarliwie Surmacz. – Orzechy zawsze są idealnie świeże i próżniowo zapakowane.

– Zadziwiająca koincydencja.

– Pewnie pomyślał pan sobie, że to trochę dziwne, że chowam orzechy pod szafą – wystękał Surmacz. – Ale to można łatwo wytłumaczyć.

– Zamieniam się w słuch – zapewnił go Konieczny.

– Otóż wczoraj, w bawialni, natknąłem się na tę paczkę. Pomyślałem, że nie powinna tak leżeć, dobrze wiem, że wuj był uczulony. Mógłby przypadkiem sięgnąć. Więc wziąłem je do pokoju, żeby nie kusić licha.

– I umieścił je pan w bezpiecznym schowku pod szafą, na

wypadek gdyby pan Walenty tu wtargnął i zaczął szukać orzechów. Słusznie, zapewne pod szafę by nie zajrzał. To ma sens. – Konieczny pokiwał głową.

– Tak. To znaczy nie. Pod szafę schowałem je przed chwilą.

– To jeszcze ciekawsze. – Konieczny zatarł ręce. – Schował je pan, bo podejrzewał, że ktoś przyjdzie i je panu zje? To drogie orzeszki. Mogło tak się zdarzyć. A jak już zje orzeszki, to jeszcze ukradnie... Co to właściwie jest?

Zmarszczył czoło i zerknął na szafkę nocną. Jej blat był jedyną niezagraconą powierzchnią w całym pokoju. Na samym środku stał komiks, w ramce, która musiała kosztować tyle co moje buty (a tanich nie noszę). Na okładce narysowana była scena z Batmanem. Nawet przez szkło ramki komiks wyglądał, jakby był starszy od Surmacza.

– Proszę nie dotykać! – Surmacz rzucił się i zasłonił ramkę ciałem. – To unikatowe wydanie. Biały kruk.

– Pewnie niemało kosztowało – zasugerowałam.

– Ile pan zarabia? – Konieczny podjął wątek.

– To nie jest tak, jak pan myśli – jęknął Surmacz. – Ja po prostu musiałem go kupić.

Oparłam się o ścianę. Aspirant zrzucił ciuchy z krzesła i przysiadł. Oboje zamieniliśmy się w słuch.

– No więc – zaczął Surmacz – kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, wujo obiecał mi ten komiks. Już wtedy to była rzadkość. Nie do kupienia. Chłopaki u nas w klasie nic podobnego nie mieli. Kiedy im opowiedziałem, że dostanę taki w prezencie od wuja, stałem się najbardziej lubianym dzieciakiem w klasie. Ale to nie trwało długo...

– Bo pan Tadeusz nigdy nie dał panu tego komiksu. –

Pokiwałam głową. To mi pasowało do Walentego.

– Dokładnie! – wybuchnął Surmacz. – Wyobraża sobie pan, co ja przeżywałam? – spytał Koniecznego. – Do końca podstawówki mnie prześladowali. Podkładali mi pinezki na krzesło, wciskali majonez do butów.

– Majonez? – zdziwiłam się.

– Bo potem strasznie śmierdzi. I w ogóle.

– Trauma z dzieciństwa i zemsta to dobre motywy zbrodni – zwróciłam uwagę Koniecznemu, na wypadek gdyby przeoczył ten fakt.

Surmacz smętnie zwiesił głowę. Zastanowiłam się, co zrobiłabym na jego miejscu. Chyba to samo. Albo spróbowała uciezki. Ponieważ Konieczny zasłaniał drzwi, zostawało tylko okno. Ale Surmaczowi nie wpadło to do głowy.

– Chyba porozmawiamy na komendzie – mruknął policjant.

– Przysięgam, nie zabiłem wuja – jęknął Surmacz. – To wolny kraj, każdy może mieć orzeszki...

– ...i trzymać je pod szafą – dokończył za niego Konieczny. – To niezwykła koincydencja. Proszę zostać w pokoju i nigdzie nie wychodzić.

Zabrał torebkę orzeszków i wyszedł na korytarz. Tym razem też nie przepuścił mnie w drzwiach. Chyba będę musiała z nim poważnie porozmawiać.

Rozdział 12

Znacie to uczucie, kiedy detektyw wchodzi do pokoju, gdzie miał przebywać podejrzany, i zastaje tylko otwarte okno z powiewającą firanką? Kiedy wkroczyłam za Koniecznym do pokoju Malwiny, firanka też tam powiewała.

– Uciekła. – Konieczny cicho gwizdnął. – Co za koincydencja.

– Idę o zakład, że inspektor Wąski nie wahałby się ani przez moment – westchnęłam.

– Ucieczka z miejsca przestępstwa. Zawiadomię służby.

Konieczny wyjął telefon, ale go powstrzymałam.

– Znajdzie się – powiedziałam. – Jej twarz zna pół Polski. A jeśli wierzyć serwisom plotkarskim, to cała. Jeżeli poszła się tylko przewietrzyć, mamy szansę obejrzyć pokój.

– Przewietrzyć – mruczał Konieczny. – Tylko kretyn wyszedłby się przewietrzyć przez okno. A inspektor Wąski mawia, że za głupotę powinno się wsadzać.

– Niewątpliwie – zgodziłam się. Po głowie zaczęła chodzić mi myśl, czyby nie wydać książeczki z powiedzeniami inspektora Wąskiego. Ten facet dawno przebił Paula Coelha, a świat wciąż o nim nie słyszał.

– Nie powinniśmy przeszukiwać pokoju bez nakazu. – Konieczny skrzywił się, otwierając szafę.

– A co mówi na ten temat inspektor Wąski? – zainteresowałam się.

– „Jeśli nikt nie złapie cię za rękę, ta ręka pozostanie czysta” – wyrecytował Konieczny.

Tak, książeczka koniecznie. Ale to później.

Zabrałam się do buszowania po walizkach. Zawartość

mnie rozczarowała. Garderoba Malwiny nie była warta nawet jednej dziesiątej tego, co przywiozła ze sobą Sonia. W łazience nie było baterii kosmetyków. Za to dwie suszarki. Jedna ze wszystkimi bajerami i druga stara, za to ciągle wilgotna. To pewnie ta, co wpadła do wanny.

I nigdzie ani śladu orzeszków.

– Nic tu nie ma – mruknął Konieczny. – Sprawdźmy u tego jej kolegi. – Puścił do mnie oko.

Nie zdziwiło mnie, że okno w pokoju Sterlinga też było otwarte, a firanka również romantycznie powiewała.

– Myśli pani to samo co ja? – szepnął Konieczny.

– Tak, jeśli myśli pan o hełmiatkach – potwierdziłam.

– Co takiego? – Zdumiony podniósł wzrok.

– Nie ma lornetki. – Wskazałam na pusty pokrowiec porzucony na stole. – Hełmiatki to kaczki, bardzo rzadkie w Polsce. Żyje ich może z pięćdziesiąt par, z czego jakieś dziesięć tutaj.

– A dlaczego akurat tutaj? – zdumiał się Konieczny.

Nie odpowiedziałam. Pod złożoną w walizce koszulą Sterlinga dostrzegłam róg kartki papieru. Wyciągnęłam plik zszytych dokumentów, przejrzałam szybko i wręczyłam Koniecznemu.

– A co to takiego? – spytał zaskoczony. – Przeczyta pani? Nie wziąłem okularów.

– Bo po angielsku? – Nie mogłam odmówić sobie złośliwości.

– W szkole miałem niemiecki, anglistka była akurat na wychowawczym.

Powiedział to tak żałośnie, że się zlitowałam i przeczytałam na głos:

– *How to kill with a knife.* Jak zabić nożem. To wydruk

ze strony internetowej.

Konieczny uśmiechnął się jak kot na widok śmietany. Zanurkował do walizki i wyjął duży profesjonalny nóż myśliwski. Trzymał go przez skarpetkę Sterlinga.

– Co za koincydencja! – Twarz mu pojaśniała.

– Nie do końca, bo jednak nikt nie zginął od noża – wskazałam lukę w koincydencji.

– Nieważne, ważne, że mógł. Jak pani myśli, co zrobiłby inspektor Wąski?

– Zamknął delikwenta? – zaryzykowałam.

– Inspektor Wąski zawsze mawia: „Jeśli strzelba wisi na ścianie, to wystrzeli”. Zadzwonię po wsparcie.

– Ha – powiedziałam, ignorując go trochę.

– „Ha” co? – zapytał.

– Po prostu „ha”. Z naciskiem na coś, co znajduje się w koszu na śmieci – podsunęłam.

Zajrzał do kosza i gwizdnął z podziwem.

– Jak pani na to wpadła?

– Większość ludzi, jeśli chce coś wyrzucić, używa kosza – uświadomiłam go.

Konieczny poszperał po kieszeniach. Po dłuższej chwili wyciągnął pojedynczą torebkę na dowody i parę lateksowych rękawiczek.

– Nie przewidziałem, że będzie tyle dowodów – wyjaśnił zgnębiony. – To już moja ostatnia para, jeśli znajdziemy coś jeszcze, będę musiał odkryć nowe źródło torebek.

– Może komenda? – zasugerowałam.

– Niestety, nasz przydział na ten rok już się skończył. – Pokręcił głową. – Mógłbym spróbować wyzebrać w Ostródzie, ale odmówiliśmy pomocy, kiedy zabrakło im w zeszłym roku zapasowych opon, więc teraz pewnie nie

dadzą nam torebek. Ale na razie mamy postęp w śledztwie! Zapakował do torebki na dowody pustą torebkę. A konkretnie torebkę po orzeszkach ziemnych marki „Orzech do zgryzienia”.

– Sterling się nie wywinie – cieszył się jak dziecko. – Mamy dwa narzędzia zbrodni.

– Nie do końca. Ten nóż mógł przypadkiem znaleźć się w walizce pana Sterlinga – zwróciłam uwagę.

– Wie pani, co mówi inspektor Wąski? „Nóż zawsze czeka, żeby jego ostrze splamiło się krwią”.

– Fascynujące – powiedziałam. – Ale chodźmy już do tych hełmiatek.

– Niby po co? Mamy dwa narzędzia...

– Niech pan sobie przypomni, czy inspektor Wąski mówił coś na temat hełmiatek – poradziłam.

– Na pewno – zasepił się Konieczny. – Tylko teraz nie pamiętam. Ale skoro pani nalega, chodźmy.

Z tego, co pamiętałam, hełmiatki zakładają miejsca lęgowe tuż nad wodą. Łatwo je wypatrzeć, czerwone dzioby i łapy widać z daleka.

Droga przez grząskie ścieżki, poprzedzielane powalonymi drzewami, zajęła nam ponad kwadrans. Przez cały ten czas Konieczny bez przerwy mówił.

– Pani się nie odzywa, ja przypieram do muru – przedstawiał mi plan batalii. – Pójdę śladami inspektora Wąskiego. Asystowałem mu, kiedy aresztował olsztyńskiego dusiciela. Pamięta pani tę sprawę? Nic na niego nie mieliśmy, ale inspektor Wąski nie dał tego po sobie poznać. Twarz pokerzysty. Zrobię tak samo.

– Aha.

– Powiedział mu prosto w oczy: „Wiemy wszystko”. Dusiciel zaczął się trząść. A inspektor Wąski mu na to: „Wiemy, gdzie schowałeś sznur”. A przecież w ogóle nie wiedział. Ale dusiciel nie wiedział, że inspektor Wąski nie wie, i jeszcze bardziej się trząsł. I mówi: „To niemożliwe, ja go tam nie schowałem”.

– Aha.

– Na to inspektor Wąski: „Mamy świadków”.

– Aha.

– Dusiciel płacze, bo inspektor Wąski doprowadził go do rozstroju nerwowego. I mówi: „Przecież nikt mnie nie mógł widzieć, jak chowałem sznur w piwnicy u Janka, a on też nie widział, bo był za granicą. Jak na to wpadliście?”.

– Aha.

– A inspektor Wąski mówi: „Mamy swoje metody”. A potem chłopaki znaleźli sznur w piwnicy u tego Janka i było po sprawie.

– Aha. I taki ma pan plan?

Konieczny pokiwał głową.

– Cicho tam!

Głos dobiegł z góry, więc zadarłam głowę. Na konarze drzewa nad nami siedzieli Sterling i Malwina. Sterling, z lornetką i w stroju maskującym, zlewał się z listowiem. Malwina miała na sobie czerwoną sukienkę, którą każda hełmiatka zauważyłaby z odległości kilometra.

– Cicho, bo przestraszycie hełmiatki – syknął Sterling i ześlizgnął się na ziemię.

– Zakazałem wychodzenia z domu – syknął, też półgłosem, Konieczny.

– Przecież nie opuszczaliśmy posiadłości. Po prostu oglądamy hełmiatki. – Malwina, która zeszła na dół w ślad

za swoim towarzyszem, wzruszyła ramionami.

– Cicho! – syknęli jednocześnie Sterling i Konieczny, a potem policjant się zreflektował.

– Znaleźliśmy to, co chciał pan ukryć. – Spojrzał oskarżycielsko na Sterlinga. – Wszystko wiemy.

– Co wiecie? – zapytał Sterling.

– Wiemy, że ma pan nóż myśliwski – stwierdził Konieczny, ale jakoś mniej pewnie.

– No, mam – potwierdził Sterling. – Drogi, siedemset złotych. Ale jaka stal! Piórko przetnie!

– Wiemy też, że czyta pan podręczniki, jak zabijać nożem – powiedział nieco bardziej triumfalnie Konieczny.

– No, czytam. – Sterling ziewnął. – Nawet czasem sobie drukuję. Nie lubię czytać na komórce. Wzrok się męczy.

– Jak zabijać ludzi?

– No tak. I jak zabijać dzikie zwierzęta, jak polować, jak ściągać skórę i oprawiać zwierzynę, jak patroszyć...

– Po co panu ta wiedza? – wszedł mu w słowo Konieczny. – I niech pan nie myśli, że nie wiemy.

– Interesuje mnie to. – Sterling wzruszył ramionami. – Wie pan, jak spadnie bomba atomowa albo inny meteoryt, cywilizacja upadnie, to kto będzie górą? Ja potrafię upolować zająca, a pan będzie jadł trawę.

– A orzeszki?

– O tak, orzeszki to dobre źródło substancji odżywczych. Tylko też trzeba umieć je znaleźć. Umie pan?

– Miałem na myśli orzeszki firmy „Orzech do zgryzienia”. Znaleźliśmy u pana w pokoju puste opakowanie.

– Ja nic nie wiem o żadnym opakowaniu. – Sterling podniósł oczy do nieba. – Pustym ani pełnym.

– To. Bardzo. Ciekawe – wydukał Konieczny. Pochylił się i szepnął do mnie: – Może ktoś mu podrzucił?

– Może – odszepnęłam.

– Pani Malwina? – szepnął znowu.

– Może – odszepnęłam.

– A co wy tak szepczecie? – zainteresował się Sterling.

– Sam pan prosił o ciszę, żeby nie płoszyć kaczek – przypomniałam.

– A tak, bardzo dziękuję. Szacunek dla przyrody. Ale teraz bardzo bym prosił, żeby państwo się oddalili. Samiec gdzieś poleciał i nie wróci nakarmić samicy, jeśli będzie się tu kręcić tyle osób.

Konieczny odwrócił się i ruszył z powrotem. Poszłam za nim.

– Co by inspektor Wąski... – zaczęłam.

– Ani słowa! – przerwał mi Konieczny. – Inspektor Wąski mówi, że czasem warto się wycofać, żeby...

– Żeby co? – zainteresowałam się.

– Właśnie nie pamiętam – westchnął Konieczny.

Rozdział 13

– W Miami byłoby już po sprawie – utyskiwał Konieczny. – Orzeszki, nawet tej samej firmy, z pewnością mają cechy indywidualne. Oglądałem raz odcinek, w którym schwytano zabójcę, bo zostawił w pokoju ofiary kilka bawełnianych włókien ze swojej koszuli. Koszul sprzedano pewnie milion, ale naukowcy z *CSI* udowodnili, że te pochodzą akurat z jego koszuli.

– Jestem skłonna w to uwierzyć. – Skinęłam głową.

– W Miami oddałbym do laboratorium wszystkie te orzeszki i puste opakowania i natychmiast przysłałby odpowiedź, które orzeszki dosypano denatowi. I byłoby po sprawie. – Uśmiechnął się do siebie.

– Nie macie tu laboratorium? – zaciekałam się.

– Mamy. Jestem pewien, że po jakimś miesiącu stwierdzono by, że orzeszki to bez wątpienia... orzeszki. Jak ja mam pracować, proszę mi powiedzieć? Zwłaszcza że tu, w tym domu, zdaje się, wszyscy mają te cholerne orzeszki.

Taka myśl też przyszła mi do głowy.

– Kto mieszka w tym pokoju? – Konieczny zatrzymał się przed kolejnymi drzwiami.

– Panowie Lewy i Maciąg.

– Mój szef uznałby, że nazwisko Lewy i morderstwo to za duża koincydencja. Od razu by go zamknął.

Konieczny zastukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

Henryk Maciąg i Igor Lewy wyglądali, jakby się nas spodziewali. Siedzieli, Maciąg w fotelu, a Lewy na ustawionej sztorcem na podłodze dużej walizce, i patrzyli

na nas.

– Można na kilka słów? – zapytał Konieczny i znowu nie czekając na odpowiedź, rozpoczął przesłuchanie: – Lubili panowie Tadeusza Walentego?

– Oczywiście – odpowiedzieli w tym samym momencie.

– I zasmuciła pana ta nieoczekiwana śmierć? – Tym razem Konieczny zwrócił się do Maciaga.

– Niezmiernie. Często współpracowaliśmy przy filmach. Zawsze zapraszał mnie na premiery.

– No, nie zawsze, Henryku – wtrącił Igor. – To nie było miłe, kiedy nie dostałeś zaproszenia na *Lot komety*.

– Pewnie zapomniał – zbagatelizował uwagę Maciag. – Ale to prawda, wtedy się nie pofatygowałem, więc nie mogłem napisać recenzji. W redakcji dali mi naganę. Wszystkie pisma miały recenzję, tylko moje nie. To był dla mnie duży cios.

– Nie mógł pan po prostu kupić sobie biletu na seans? – zapytałam.

Maciag spojrział na mnie z przerażeniem, jakbym zaproponowała, żeby, skoro jest głodny, złapał małe kociątko i je sobie ugotował.

– Ale jak to „kupić”? – wyjąkał.

– W kasie – wyjaśniłam. – Robiłam to wiele razy. „Poproszę bilet normalny, proszę bardzo, trzydzieści złotych, karta czy gotówka, wydrukować potwierdzenie?”. Tak mniej więcej.

– To absolutnie wykluczone! – krzyknął Maciag. Poderwał się z fotela. – Koledzy recenzenci, widząc mnie przy kasie, pomyśleliby, że jestem skończony. Że muszę sam kupować bilety. Nie, nie, nie! To byłoby straszne!

– Na tyle straszne, żeby potem się zemścić? –

zasugerował Konieczny.

– No skąd, to w ogóle nie leży w mojej naturze – wzdrygnął się Maciąg. – Ja od razu zapominam o urazach. Igor, owszem, on pamięta wszystkie świnię, które ktoś mu podłożył. Ja każdego ranka wstaję z głową czystą jak biała kartka.

– Ależ misiu, co ty mówisz? – zdumiał się Lewy.

– A kto się obraził na Tadeusza, że zmusił nas do wyjścia z szafy? – Maciąg uśmiechnął się triumfalnie.

Poczułam, że nadeszła chwila, żeby wyjąć popcorn.

– Ależ to przecież śmiechu warte, szafa jak szafa, taka przenośnia – zignorował go Lewy.

– Gdyby to nie było ważne, nie gadałbyś o tym codziennie przez ostatnie dwa lata – upierał się Maciąg.

– Mówię ci przecież, że to nic takiego – syknął Lewy przez zaciśnięte zęby i dodał, na wypadek gdybyśmy nie pojęli: – Na rozdaniu nagród za scenariusz Tadeusz palnął raz do mikrofonu: „Zapraszamy naszą uroczą parkę gołąbeczków”. Miał na myśli nas.

– Zrobił nam przymusowy coming out.

– No tak – stwierdził Konieczny dyplomatycznie. – Czyli obaj panowie mieli pretensje do pana Walentego.

– Było, minęło. – Lewy machnął ręką. – Prawda, Heniu?

– Tak, dokładnie tak. Było i nie ma.

Konieczny rozejrzał się po pokoju.

– Zapewne wiedzą panowie, że pan Walenty zmarł po spożyciu orzeszków?

– Nie mamy orzeszków – odparli chórem Lewy i Maciąg. Uniosłam brwi.

– Nie o to pytałem – wycedził Konieczny. – Dlaczego siedzi pan na walizce? – zwrócił się do Lewego.

– Lubię siadywać na walizkach. Zawsze, kiedy piszę... siedzę na walizce.

– Niech pan wstanie i ją otworzy.

– Ale... zapomniałem kluczyka.

– Ona jest na szyfr – przypomniał mu Maciąg. – Zero-zero-zero.

Lewy przewrócił oczami. Z ociąganiem wstał, z jeszcze większym ociąganiem otworzył walizkę, po czym natychmiast ją zamknął.

– Same brudne ciuchy, widzą państwo.

– Pan pokaże – zażądał Konieczny.

Lewy uchylił walizkę i ponownie ją zamknął. Konieczny wyjął mu uchwyt z ręki i położył walizkę na łóżku. Lewy, nieco blady, oparł się o ścianę.

Konieczny wyciągnął z walizki kilka par skarpet, bokserki, spodnie i koszule. Pomacał jeszcze boki, pewnie szukając tajnej skrytki, jakich z pewnością pełno w Miami, ale nic nie znalazł. Nie było żadnych orzeszków.

– Teraz pan. – Popatrzył na Maciąga. – Poproszę pana bagaż.

Też popatrzyłam na Maciąga, bo wyglądał dziwnie. Przed chwilą rozparty w fotelu, teraz się kulił, a na czole kroplił mu się pot. Widziałam już podobne objawy u ofiar zapalenia wyrostka, ale nigdy nie pojawiały się tak nagle.

Maciąg z rezygnacją machnął ręką w stronę kąta. Jego walizka była taka sama jak ta Lewego.

– Proszę czynić swoją powinność – oznajmił teatralnie i odwrócił wzrok.

Konieczny przetrząsnął walizkę Maciąga, a ja patrzyłam przez ramię, czy niczego nie przegapił. Tu też nie było orzeszków.

Spojrzałam na Maciąga. Wyglądał, jakby atak wyrostka mu minął. I jednocześnie jakby był tym faktem bardzo zdziwiony.

– To wszystko? – zapytał Konieczny.

– To wszystko? – powtórzył za nim Maciąg.

– To wszystko? – zawtórował im Lewy, równie zdumiony jak Maciąg.

– Panowie, proszę zachować powagę. Ja się pytam, czy to wszystkie rzeczy panów.

– Nie widziałam przyborów toaletowych – wtrąciłam. – Na pewno są w łazience.

W łazience, na półce pod lustrem stały dwie identyczne kosmetyczki. W pierwszej orzeszków nie było. W drugiej – owszem.

– Czyja to kosmetyczka? – spytał Konieczny.

Maciąg i Lewy, stojący w drzwiach za moimi plecami, jednocześnie wskazali na siebie nawzajem.

– To jego – powiedzieli unisono.

Konieczny sięgnął po kosmetyczkę z orzeszkami i otarł pot z czoła. Rzeczywiście w łazience było gorąco.

– Wyjdźmy stąd – zaproponowałam, bo nie chciałam nikogo reanimować na wypadek udaru cieplnego. – I porozmawiajmy.

W pokoju Maciąg znowu usiadł w fotelu, Lewy na krześle. Konieczny przycupnął na łóżku, a ja oparłam się o ścianę. W ten sposób lepiej kontrolowałam sytuację.

– Proszę jeszcze raz, żeby panowie potraktowali sprawę poważnie. Czyja to kosmetyczka?

– To jego – powiedział Maciąg.

– Henryka – utrzymywał Lewy.

Konieczny zajrzał do środka. W kosmetyczce nie było nic

poza paczką orzeszków.

– Na podstawie zawartości nie da się ustalić – oznajmił.

– Ustalimy to inaczej – pocieszyłam go. Spojrzałam na Maciąga i Lewego. Żaden nie patrzył na drugiego. – Rozumiem – powiedziałam – że żaden z panów nie chciałby zostać złapany z orzeszkami w ręce, prawda? W końcu pan Tadeusz Walenty zginął z powodu orzeszków.

Maciąg i Lewy pokiwali energicznie głowami.

– Ale proszę zwrócić uwagę na fakt, że orzeszki nie są dowodem popełnienia przestępstwa. Dowodem jest brak orzeszków. W końcu zabójca musiał się pozbyć swojej paczki, wsypując jej zawartość do bigosu.

Maciąg poderwał głowę.

– Ach, co za niedopatrzenie! – krzyknął. – Teraz sobie przypomniałem: to moja kosmetyczka. Ma takie malutkie rozprucie przy zamku, prawie niewidoczne gołym okiem. Ale po tym poznaję, że moja.

– Ależ misiu, co ty mówisz? – oburzył się Lewy. – Przecież stąd widzę, że to moja. Ma taką niedostrzegalną gołym okiem plamkę od spodu.

– Przecież ty nie lubisz orzeszków! – wrzasnął Maciąg. – A ja muszę zjeść kilka przed snem, inaczej dręczą mnie koszmary. To moja paczka. Ukradłeś mi ją, jak poszedłem do kuchni po coś do picia.

– Co ty opowiadasz, misiu! – zdenerwował się Lewy. – Przecież ciebie dręczą koszmary właśnie wtedy, kiedy coś zjesz przed snem. A ja muszę podjadać orzeszki, kiedy piszę. Stymulują pracę umysłową. Ty mi je ukradłeś, gdy brałem prysznic!

– To nie twoja paczka, bo widziałem, że poplamiliłeś swoją miodem. Potem położyłeś ją na karteczkach

samoprzylepnych i się poprzyklejały. Bo ty jesteś takim niechlujem, Igor. Zobacz, jak wyglądają twoje rzeczy w walizce!

– A ja widziałem...

Dałam znak Koniecznemu – na szczęście załapał. Odstawił kosmetyczkę i wyszedł na korytarz. Nawet kiedy zamknął drzwi, ciągle słyszeliśmy podniesione głosy Maciąga i Lewego.

– Sprawa jest jasna, nie sądzi pan?

Popatrzył na mnie, jakby miał się zaraz rozpląkać.

– W tym domu nic nie jest jasne. To banda wariatów!

– W sumie się z panem zgadzam.

Konieczny oparł się o ścianę, a ja mówiłam dalej:

– Obaj panowie, Maciąg i Lewy, kupili po paczce orzeszków. Czy chcieli sprzątnąć pana Tadeusza, trudno powiedzieć, chociaż każdy miałby powód, jak pan słyszał.

– Oj, słyszałem – jęknął Konieczny. – Czy pani myśli, że wiedzieli o alergii pana Walentego na orzeszki?

Przypomniałam sobie słowa Zofii, które usłyszałam zaraz pierwszego dnia. „Moja droga, w tej branży wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich”.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – zapewniłam go. – Ale żaden nie otworzył swojej paczki. Każdy był przekonany, że ma ją gdzieś w swoim bagażu. Dlatego tak się bali rewizji walizek.

– No i? – Konieczny chciał wiedzieć, co dalej. Pomogłam mu.

– A potem okazało się, że w pokoju jest tylko jedna paczka. Wtedy każdy chciał nas przekonać, że to orzeszki tego drugiego. Ale kiedy im powiedziałam, że posiadanie orzeszków to patent na niewinność, nagle każdy z nich

zaczął krzyczeć, że to jego.

– Czyli myśli pani, że żaden z nich nie jest zabójcą?

– Jestem tego pewna. I wiem coś jeszcze.

Konieczny zawisł wzrokiem na moich ustach.

Ulitowałam się nad nim.

– Że ktoś im ukradł jedną paczkę orzeszków.

– Koincydencje zaczynają mnie przerastać – westchnął Konieczny. – Inspektor Wąski...

– ...zamknąłby ich od razu – dokończyłam za niego. Nigdy nie widziałam tego Wąskiego na oczy, ale coraz bardziej zaczynałam go lubić.

– Dzień dobry jeśli ma pani orzeszki proszę od razu powiedzieć gdzie są – wyrzucił z siebie Konieczny na jednym wdechu, kiedy tylko przekroczyliśmy próg pokoju Soni Weles.

Sonia, w ażurowym szlafrocжку narzuconym na gołe ciało, zmarszczyła nosek. Robiła to podobno kilkakrotnie w każdym filmie, a portale plotkarskie zastanawiały się, czym wypełnia zmarszczki wokół noska. Nikt nie znajdował na to dobrej odpowiedzi.

– W walizce – wyjaśniła, siadając w fotelu.

– Kupiła je pani, żeby przegryzać sobie przed snem? – dopytywał Konieczny. – Czy żeby wspomóc pracę mózgu?

– Chciałam postraszyć Tadeusza, że wsypałam mu te orzeszki do jedzenia – wyznała Sonia. – On by mi powiedział, że nie dostanę tej roli w reality show, a ja bym mu pomachała napoczętą paczką i powiedziała: „Twój czas się skończył”. Miałam taką scenę w thrillerze. Była bardzo mocna. Machałam przed oczami antagoniście i wołałam: „Twój czas się skończył”. Bardzo mnie za tę scenę chwalono.

– Machała pani orzeszkami? – zdumiał się Konieczny. – W thrillerze?

– Kluczami. To długa historia. – Sonia machnęła ręką.

– Czyli to pani wsypała te orzeszki do bigosu?

Widziałam, że Konieczny uchwycił się tej myśli jak tonący brzytwy. I skończył podobnie jak ten z przysłowia. Natychmiast utonął.

– Ależ skąd – oburzyła się Sonia. – Przedstawiłam to panu jako potencjalny scenariusz. Niestety nie udało mi się wprowadzić projektu w życie. Tadeusz zszedł.

Wypięła dumnie biust. Inspektor Konieczny przełknął ślinę.

– Mogę udowodnić, że jestem niewinna – oznajmiła Sonia i królewskim gestem wskazała niezliczone torby i walizki poniewierające się na podłodze.

– Sprawdzimy – mruknął Konieczny i dał mi znak, żebym mu pomogła.

– Są w tej od Vuittona – podpowiedziała Sonia.

W vuittonie była bogata kolekcja bielizny, ale zero orzeszków.

– Ojej, to chyba w tej od Hermesa.

W hermesie królowały spodnie i apaszki. Wszystko wskazywało na to, że Sonia chciała wprowadzić się do Dumy Warmii na rok, a nie na kilka dni.

– Och, sama już nie wiem. – Sonia odchyliła głowę i odgarnęła włosy. – Szukajcie, gdzie chcecie.

Pierwszą paczkę orzeszków znalazłam ja. W małym neseserze od Diora. Drugą wyszperał Konieczny, w walizce od Burberry.

– O – powiedziała Sonia. – Czyli mam dwie paczki.

– Wyjaśni to pani jakoś? – zapytał Konieczny.

– Widocznie kupiłam dwie. – Wzruszyła ramionami.

Konieczny obejrzał tę, którą trzymał w ręku. Była dokładnie taka sama jak te, które znaleźliśmy w pokoju Surmacza i w kosmetyczce, co do której nadal nie byłam pewna, czy należała do Maciąga, czy do Lewego. „Orzech do zgryzienia”. Zawsze idealnie świeże i próżniowo zapakowane.

Tylko na paczce trzymanej przez Koniecznego widniały lepkie plamy po miodzie i jedna przyklejona karteczka samoprzylepna.

– A to pani wyjaśni?

– No naprawdę, jaki pan niedomyślny – zaczęła Sonia z uśmiechem. – Po prostu zrobiłam sobie kanapkę z miodem, kilka kropel spadło na paczkę orzeszków, następnie położyłam ją na karteczkach i jedna się przykleiła.

– A gdzie reszta karteczek? – spytałam.

– Gdzieś tam. – Sonia wskazała walizki.

Znowu kiwnęłam głową w kierunku drzwi. Konieczny znowu zrozumiał.

– Proszę nie wychodzić z pokoju – polecił Soni i wyszliśmy.

Nigdy nie pcham się z pomocą nieproszona, więc na korytarzu spytałam:

– Mam panu powiedzieć, co tu się wydarzyło?

– Będę pani bardzo, ale to bardzo wdzięczny – westchnął Konieczny.

– Sonia też kupiła orzeszki. Może rzeczywiście po to, żeby urządzić Tadeuszowi scenę.

– Bo ona też wiedziała o jego alergii...

Nie skomentowałam. Nie komentuje się rzeczy

oczywistych.

– A potem, w przeciwieństwie do Maciąga i Lewego, sama się domyśliła, że paczka orzeszków w pokoju, nienaruszona, świadczy o jej niewinności, nie o winie. Więc zaczęła szukać orzeszków, żeby je panu pokazać w czasie rewizji. I nie mogła ich znaleźć. Widział pan sam, ile ona ma tych waliz.

Konieczny pokiwał głową.

– Więc zakradła się do sąsiedniego pokoju, kiedy Maciąg był w kuchni, a Lewy brał prysznic, i rąbnęła stamtąd paczkę orzeszków.

– A skąd wiedziała, że ci panowie obok w ogóle mają orzeszki? – zastanowił się Konieczny.

– Moim zdaniem w tym domu absolutnie wszyscy je mają – mruknęłam. – Wszyscy z wyjątkiem mordercy.

– No tak – zasępił się Konieczny. – Ta pani zapewne też jest niewinna. Ale inspektor Wąski i tak natychmiast by ją zamknął.

Rozdział 14

Znacie te historie, kiedy bohaterka wyrusza sprawdzić swoje hipotezy, przemyka się ostrożnie do pokoju ofiary i bada zgromadzone dowody? W żadnej z nich nie ma ani słowa o tym, skąd bohaterka miała wolne dziesięć minut.

Aspirant Konieczny uznał chyba, że już do końca życia będzie chodził za mną krok w krok i opowiadał, że inspektor Wąski zamknąłby wszystkich od razu i się nie patyczkował.

Zasugerowałam, że powinien coś zjeść.

Odpowiedział, że się odchudza.

Zaproponowałam, żeby uciął sobie krótką drzemkę dla zregenerowania sił. W Dumie Warmii było od cholery wolnych pokoi.

Odpowiedział, że nie sypia na służbie.

I już myślałam, że będę musiała zamknąć się w toalecie i wymknąć przez małe okienko (a takie ucieczki dobrze wypadają tylko w powieściach szpiegowskich z dwudziestego wieku; później autorzy już odkryli, że kobieta ma biust i biodra, więc zwyczajnie się w małym okienku nie mieści), kiedy ocalił mnie inspektor Wąski. Zadzwoił i zażądał szczegółowej relacji ze śledztwa.

– To ja pójdę posprawdzać inne pokoje – zaproponowałam.

Konieczny machnął ręką. Nie wiem, czy w ogóle mnie usłyszał.

Bohaterki powieści szpiegowskich z dwudziestego wieku, te same, które uciekały wcześniej przez okienka w toaletach, zwykle otwierają zamknięte gabinety za

pomocą szpilki do włosów. Nie próbujcie tej metody. Zajmuje co najmniej dwie minuty. W tym czasie ktoś na pewno wyjdzie na korytarz. Użyłam więc uniwersalnego klucza, który Zofia wręczyła mi zaraz po przyjeździe do domu.

Gabinet Tadeusza Walentego wyglądał, jakby jego właściciel miał za moment wrócić. Na biurku stała niedopita kawa i leżały napoczęta paczka ciasteczek, odkręcone wieczne pióro bardzo drogiej marki (aktualnie już zaschnięte na amen) i kilka zmiętych chusteczek higienicznych. Stał też laptop, otwarty, ale wygaszony. Dotknęłam klawiatury i na ekranie pojawiło się żądanie: „Wprowadź hasło”.

Podobno połowa użytkowników komputerów używa hasła 12345678. Jedna czwarta wprowadza swoją datę urodzenia, a pozostali imię pieska, kotka lub partnera albo partnerki. Dwie pierwsze opcje nie zadziałały, pieska Walenty nie miał, spróbowałam więc z Zofią, potem z Sonią, a jeszcze później z Malwiną. To również zawiodło.

Tylko jeden procent użytkowników używa skomplikowanych haseł, których nie sposób odgadnąć. Hasła te są tak zawile, że nie da się ich również zapamiętać, więc użytkownicy muszą je trzymać obok komputera. Zajrzałam pod spód laptopa i odlepiłam żółtą karteczkę, na której ktoś starannie wykaligrafował: % („103AB-@#mno!).

Hasło było naprawdę mocne, CIA lub Anonymous trudziliby się tygodniami, żeby je złamać.

Ekran rozjarzył się i uniosłam brwi, bo na pulpicie zobaczyłam plik „Lucja.doc”. Kliknęłam.

„Lucja Słotka, prawdziwe imię Lukrecja. 34 lata, studia

na Wydziale Amerykanistyki – nieukończone, studia na Wydziale Etnografii – nieukończone. Studia menedżerskie – nieukończone. Studia w Międzynarodowej Szkole Zarządzania Majątkiem w Brukseli – ukończone z wyróżnieniem. Dyplomowany kucharz z certyfikatem École de Cuisine w Paryżu. Włada pięcioma językami. Nieuregulowane życie seksualne. Upodobanie do drogich butów i używek”.

Wzruszyłam ramionami. Nieuregulowane życie seksualne? Co to w ogóle ma znaczyć? Drogie buty i używki? A znacie kobietę, która lubi tanie?

Na pulpicie były też pliki z innymi imionami. Otworzyłam każdy. Dowiedziałam się, że Igor Lewy ma dużą kolekcję żołnierzyków i wolny czas poświęca na urządzenie bitew. Henryk Maciąg tylko udaje, że jest koneserem win, a tak naprawdę w ogóle się na nich nie zna i kiedy dostał najtańsze gato negro, uwierzył, że to châteauneuf du pape. Hm, to było interesujące, obiecałam sobie, że następnym razem naleję mu baron gaillac. Z kolei Zofia urządziła wielką imprezę z okazji czterdziestych urodzin, niestety, piętnaście lat po fakcie. Sonia zrobiła sobie implanty kości policzkowych i twierdzi, że to natura ją tak wyposażyła, a tak naprawdę wyposażył ją doktor Obój (same pięciogwiazdkowe recenzje na stronie kliniki). Marek Sterling wciągnął inwestorów w tworzenie nowej marki modowej. Miała być stuprocentowo polska, tyle że powstała w Bangladeszu, a kiedy wyszło to na jaw, inwestorzy wycofali pieniądze. Z wyjątkiem Sterlinga, który wycofał pieniądze wcześniej.

Najciekawsze zapiski znalazły się przy nazwisku prezes Faustyny Jelonek. „Wasiak zakontraktowany na zdobycie

pendrive'a. Konieczne wywabienie. Kamera? Sposób komunikacji? Walkie-talkie? Za wszelką cenę!!! Po trupach!”.

Zmarszczyłam brwi. Właściwie powinnam jak najszybciej pójść do chatki prezes Jelonek i sprawdzić, czy „po trupach” było figurą retoryczną, czy twardym faktem.

I wtedy jakiś głos zachrypiał:

– Panie szefie kochany, działamy?

Oczywiście wiele osób mogłoby podskoczyć, słysząc w pustym gabinecie wypowiedziane ochryplym szeptem słowa, ale słyszałam już dziwniejsze rzeczy. Poza tym głos dobiegał z szuflady biurka, a niewielu mam wrogów, którzy zmieściliby się w szufladzie.

Otworzyłam biurko i wyjęłam krótkofalówkę, która ponownie zachrypiała:

– Ja brzoza, ja brzoza, grab, zgłoś się.

Gdzieś już słyszałam ten głos.

– Panie szefie, siedzę na drzewie, na tym naprzeciwko domku pani prezes, tak jak pan kazał. Ale panie szefie, strasznie mi się chce siku. To ja na chwilę opuszczę stanowisko obserwacyjne za potrzebą. I chciałem zameldować, że jestem głodny i łupie mnie w krzyżu po tym, jak zleciałem z drabiny. To mówię na wypadek, gdyby pan prezes pytał, czemu nie siedzę na tym drzewie.

Krótkofalówka zamilkła. Wsunęłam ją do kieszeni i ruszyłam w stronę chatki prezes Jelonek.

Za drzwiami zatrzymałam się i zlustrowałam otoczenie. Tuż obok chatki rósł na oko stuletni dąb. Zanim zdążyłam tam dojść, usłyszałam hałas, następnie z góry zleciała lornetka, za nią paczka czipsów i niedojedzona kanapka. Po chwili pojawiły się nogi, a za nimi cała reszta Wasiaka.

– Dzień dobry, piękny dzień. Co tam na drzewie słyhać? – zagadnęłam go przyjaźnie.

– A dobrze, wszystko dobrze. – Na jego twarzy odmalował się wysiłek umysłowy. Podniósł z ziemi torebkę czipsów. – Pomyślałem sobie, że zjem coś na...

– Na dębie – podsunęłam.

– Bo szef prosił mnie... prosił mnie... – Zaciął się.

– Żeby posiedział pan na drzewie?

– Żebym sprawdził, czy z dębem wszystko w porządku. – Uśmiechnął się dumny, że udało mu się wybrnąć z sytuacji.

– I co, w porządku?

– A tak, jak najbardziej – odetchnął.

Chciał znowu wspiąć się na pień, ale go powstrzymałam.

– Skoro w porządku, to nie musi pan już więcej sprawdzać.

– A tak, nie muszę.

Podrapał się w głowę. Zgarnął czipsy, kanapkę i lornetkę i powoli ruszył w stronę domu.

Gdy zniknął za załomem, moja krótkofalówka ożyła.

– Tu brzoza, tu brzoza, zgłaszam problem. Pasikonik uniemożliwia akcję specjalną. Powtarzam: pasikonik... a, nie... to biedronka uniemożliwia akcję. Przepraszam, pomyliły mi się kryptonimy. Ja mam tę karteczkę, ale poplamilem keczupem i nie mogę odczytać, czy to pasikonik, czy biedronka.

Zastanowiłam się przez chwilę, czy wolę być pasikonikiem, czy biedronką. Ale postanowiłam rozstrzygnąć ten problem innym razem. Teraz musiałam sprawdzić, czy prezes Jelonek jeszcze żyje.

Żyła. Kiedy weszłam do chatki, na mój widok podskoczyła i szybko schowała coś do torebki. Zanim

zdążyłam cokolwiek powiedzieć, torebka przemówiła znanym mi już głosem Wasiaka.

– Zgłaszam się, jak mnie słychać, odbiór. Potwierdzam zamówienie.

– Ta nowoczesna technika – westchnęła prezes Jelonek. – Nie uwierzy pani, nie wszyscy już przyjmują zamówienia przez zwykły telefon.

Wyjęła z torebki walkie-talkie.

– Jedną pizzę z pieczarkami i dodatkowym sosem.

– Ale ja nie mam zapisane, co to znaczy pizza – zaprotestowała krótkofalówka. – I jeszcze z dodatkowym sosem.

Prezes Jelonek przewróciła oczami.

– Usługi są dziś na skandalicznie niskim poziomie – syknęła do mnie. – Personel niedostatecznie przeszkolony. Czy to tak trudno zrozumieć? – krzyknęła do krótkofalówki. – Pizza z pieczarkami i jalapeño. Na cienkim cieście. Za pół godziny.

– Halapenio? – zatrzeszczała mikrofalówka. – Ale ja nie mam kodu na halapenio. Chodzi o pana Henia?

– Kretyn – westchnęła prezes Jelonek. – A ja tu umieram z głodu. Ten policjant kazał mi siedzieć w chatce i nie wychodzić. Więc wysłałam tego waszego Wasiaka po pizzę.

– A może ten kod oznacza komputer szefa? – trzeszczała dalej krótkofalówka. – Bo jak tak, to melduję, że jeszcze nie ukradłem. Przeszkodziła mi biedronka.

Czyli jednak stanęło na biedronce. Mnie też się tak bardziej podobało.

Prezes Jelonek pochwyciła mój wzrok.

– Oj, takie tam. – Machnęła ręką. – Poprosiłam Wasiaka,

żeby mi przy okazji, skoro już się fatyguje, przyniósł komputer Tadeusza. Bo sama pani przecież słyszała. Policjant zabronił mi wychodzić.

– Jaki policjant? – usłyszałyśmy od drzwi.

Nie wiem, jak Konieczny mnie tu znalazł. Może jednak był lepszym policjantem, niż mi się wydawało.

– Nie pan – warknęła prezes Jelonek. – Ten drugi.

– O co tu chodzi? – chciał wiedzieć Konieczny.

– Detale – wyjaśniłam. – Pan Walenty kazał swojemu pracownikowi ukraść pendrive'a pani prezes.

– Słucham? – Prezes Jelonek poczerwieniała.

– A pani prezes kazała temu samemu pracownikowi ukraść komputer pana Walentego – kontynuowałam.

– Ja mu niczego nie kazałam – fuknęła prezes Jelonek. – Poprosiłam tylko, żeby mi przyniósł.

– A Wasiak jest idiotą – tłumaczyłam dalej. – I nie zorientował się, że te zlecenia ze sobą kolidują.

Tym razem do otarcia potu z czoła nie wystarczył Koniecznemu rękaw kurtki. Wyjął z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych.

– A ten Wasiak to który? – spytał w końcu.

– Ten, co zleciał z drabiny. Nic sobie nie złamał, ale pojechał na prześwietlenie. I pewnie nawet jeszcze nie wie, że pan Walenty nie żyje.

– Inspektor Wąski by go...

– ...natychmiast zamknął. Tak, wiem.

Chciałam coś jeszcze dodać, ale krótkofalówka znowu zachrypiała:

– Zgłaszam, że wykonanie zadania jeszcze się opóźni. Przez biedronkę.

– To ja – wyjaśniłam Koniecznemu. – Pan to pewnie

pasikonik.

Miałam wrażenie, że aspirant za chwilę zemdleje.

– Mówiłam, że to kretyn. – Prezes Jelonek wzruszyła ramionami.

Konieczny oparł się o ścianę. Otarł pot z czoła, górnej wargi i karku. A potem postanowił zrobić to, po co tu przyszedł.

– Czy ma pani orzeszki? – spytał.

– No skąd! – oburzyła się prezes Jelonek.

– Możemy sprawdzić w sklepie, czy je pani kupowała – ostrzegł ją Konieczny.

– Och, no może rzeczywiście miałam jakieś orzeszki. Ale dałam je Wasiakowi. Sam mnie poprosił. Powiedział, że już jadł takie i bardzo mu smakowały.

– A tymczasem wciąż nie wiadomo, kto dosypał orzeszki do bigosu. – Pokręciłam głową.

– Chyba nikt nie podejrzewa, że to ja – obruszyła się prezes Jelonek.

– Ktoś mógłby jednak pomyśleć, że chciała się pani pozbyć pana Tadeusza, bo panią szantażował – powiedziałam.

– To absurd.

– Albo pani szantażowała jego...

– To też absurd!

– Albo nie chciała pani, żeby produkował ten reality show, więc straciłby miliony.

– I to również jest absurdalne pomówienie – zaprotestowała prezes Jelonek z oburzeniem. – Gdyby każdy mordował za takie drobiazgi, nie byłoby komu robić programów.

Konieczny śledził naszą wymianę zdań jak mecz

tenisowy, tylko wzrok miał lekko mętny.

– Czyli dała pani panu Wasiakowi orzeszki po prostu dlatego, że poprosił. Bez żadnych podtekstów.

– Oczywiście! Wyglądał na głodnego. Co prawda rzeczywiście skarżył mi się, że musi paradować w ten upał w sukmanie i z doklejonymi wąsami. Miał o to duży żal do Tadeusza. I prawdą jest, że coś wspominał, że zamierza zakończyć tę sprawę. Faktycznie mówił o orzeszkach i alergii Tadeusza... Ale mnie proszę w to nie mieszać. Ludzie wciąż mi mówią: „Zabiję drania”. Dwa dni temu powiedziała mi tak dyrektor programowa o naszym prezenterze wiadomości. Ale oczywiście go nie zabiła. Choć muszę przyznać, że gdyby zabiła, rozwiązałyby to wiele problemów. Jego kontrakt jest zdecydowanie za wysoki i nie można go wyrzucić ze stacji przez następne dwa lata.

– Wracając do pana Wasiaka... – skierowałam rozmowę na interesujące mnie tory.

– Nie ma o czym mówić – ucięła prezes Jelonek. – Ja po prostu nakarmiłam głodnego.

– A gdzie właściwie jest ten cały pan Wasiak? – Konieczny znowu uchwycił się jedyne go wątku, który był w stanie prześledzić od początku do końca.

Drzwi za mną znowu się otworzyły i wszedł Władek. Staął na baczność i wyrecytował:

– Melduję, panie aspirancie, że nakryłem pana Wasiaka z orzeszkami. Zeżarł wszystkie, a potem uciekł.

– Baza, baza, tu orzeł – rozległ się głos Wasiaka z walkie-talkie. Brwi Koniecznego powędrowały w górę i już tam pozostały. – Orzeszki zjedzone. To znaczy bombki, zapomniałem, że orzeszki to bombki. Powtarzam: bombki zjedzone. Niestety jastrzębie świadkiem zjedzenia bombek.

Powtarzam: jastrzębie świadkiem zjedzenia bombek. Pizza na grubym, na cienkim nie robią.

Konieczny gapił się na prezes Jelonek, Władek na Koniecznego, a prezes Jelonek na krótkofalówkę. Pomyślałam, że nic tu po mnie. Już się dowiedziałam wszystkiego, czego chciałam.

Zrobiłam krok w kierunku drzwi. W tym momencie się otworzyły. Do środka wpadł Wasiak, ciągle w sukmanie, ale bez wąsów. W dłoniach trzymał karton z pizzerii.

– Jeszcze gorąca. – Wręczył pudełko zaskoczonej prezes Jelonek. – Ale nie wiedziałem, o co chodzi z tym halapenio, to wziąłem z kebabem, bo pieczarki się skończyły.

– Zjadł pan bombki? – Konieczny wycelował w niego palec. – To znaczy orzeszki?

Wasiak zbladł jak ściana.

– To ona mi kazała. – Wskazał na prezes Jelonek.

– Ja tego nie zrobiłam! – krzyknęła prezes Jelonek. – Nie zabiłam Tadeusza.

– Szef nie żyje? – zdumiał się Wasiak. – To z kim ja rozmawiałem?

– Ja bym ich wszystkich zamknął – zasugerował Władek. – Inspektor Wąski zawsze mówił...

– Wiem, co mówił inspektor Wąski! – wrzasnął Konieczny. – Wy zostajecie tutaj. – Wskazał na prezes Jelonek i Wasiaka. – Ty ich pilnujesz. – To było do Władka.

– Tak jest, panie aspirancie. – Policjant się wyprężył. – W kwestii formalnej...

– Słucham.

– Czy pizza jest dowodem rzeczowym? Bo od rana nic nie jadłem.

Konieczny spojrzał na mnie rozpaczliwie.

– Myślę, że nie – oświadczyłam. – Poza tym jest z kebabem, więc nie nadaje się do niczego innego.

– Zjadajcie – zgodził się Konieczny.

– A ja też mogę? – zapytał Wasiak. – Bo tych orzeszków było bardzo mało.

– Chodźmy stąd – jęknął Konieczny – zanim sam kogoś zabiję.

Rozdział 15

Agatha Christie twierdziła podobno, że najlepsze pomysły na zbrodnie przychodzą jej do głowy w czasie zmywania naczyń, jest to bowiem czynność tak nudna, że człowiek od razu ma ochotę kogoś zabić. Podpisuję się pod tym obiema rękami, ale nie ograniczajmy się tylko do naczyń. Mycie okien też jest dobre, a domostwo Tadeusza Walentego dostarczało w tym względzie olbrzymich możliwości. Mogłam spokojnie pomyśleć, kto i dlaczego chciał sprzątnąć biednego Walentego.

Wychodziło mi, że wszyscy. Każdy miał z nim na pieńku i mógł wpaść na to, że orzeszki dosypane do bigosu będą eleganckim i pewnym sposobem rozwiązania problemu.

Dręczyło mnie jednak coś innego. Wszyscy goście mieli coś do Walentego i każdy zwrócił się do mnie o pomoc. A ja każdemu tę pomoc obiecałam. I dotrzymałabym słowa, gdyby nie fakt, że ktoś nie wytrzymał i postanowił wziąć sprawy we własne ręce. Kto to był? Kto nie miał zaufania do niezawodnej Lucji Słotkiej, Home Disaster Manager? Kto nie uwierzył, że ogarnę sytuację? No kto?

To była sprawa osobista, której nie mogłam puścić płazem.

Zofia Montegabbione? Co prawda ucieszyła się, że ułani znikli z honorowego miejsca, ale brak Tadeusza był dla niej bolesny, oznaczał koniec dopływu pieniędzy. To jeszcze gorsze niż ewentualny rozwód, w sądzie bez trudu wywalczyłaby alimenty. A tak została jej abstrakcja na ścianie.

Prezes Jelonek? Byli z Walentym jak USA i Chiny,

mocarstwa dyskretnie dające sobie do zrozumienia, że dysponują czerwonym guzikiem, ale świadome, że po jego naciśnięciu nastąpi totalna anihilacja obu stron. A żadne z nich nie było na to gotowe.

Sonia Weles? Gdyby kogoś zabiła, nie oparłaby się pokusie, żeby zrobić z tego Instastory i zdobyć mnóstwo lajków.

Igor Lewy i Henryk Maciąg? To by nawet pasowało. Ale Lewy, esteta i miłośnik skomplikowanych scenariuszy, uknułby wielowątkową intrygę, zamiast po prostu wsypywać orzeszki do bigosu. A Maciąg raczej mściłby się w recenzjach, precyzyjnie wbijając szpile.

Więc może Piotr Surmacz? Przy całej mojej sympatii dla tego młodego człowieka (lubię ludzi, którzy doceniają moje zalety, nawet jeśli tylko te fizyczne) – zdecydowanie nie. Pomyliłby orzeszki ziemne z pistacjami albo je zgubił.

A Malwina Car? Dlaczego miałyby pozbywać się Tadzia, skoro oferował jej jednak główną rolę w nowym reality show?

W takim razie pozostawał Marek Sterling. Jedyne w tym towarzystwie człowiek z innego świata. Przyzwyczajony, że dostaje to, co chce. Właściciel noża myśliwskiego i podręcznika, jak go skutecznie używać. Ale czy podjąłby się takiego ryzyka?

Usłyszałam pukanie.

– Pani Lucjo – Konieczny uśmiechał się z zakłopotaniem – wybrałaby się pani na przejażdżkę?

– Spontaniczna randka?

– W pewnym sensie. – Kaszlnął. – Chwilowo nie mam samochodu. A pani dysponuje autem. Pomyślałem, że warto zebrać w wiejskim sklepie zeznania dotyczące tych

nieszczęsnych orzeszków – westchnął. – Więc może jak pani skończy z tymi oknami...

– Tu jest z pięć tysięcy metrów do umycia. – Wrzuciłam myjkę do wiadra z wodą i zdjęłam rękawiczki. – Skończyłabym na Boże Narodzenie. Jedziemy.

Ruszyłam swoim mustangiem ostrożnie, co oznaczało, że Konieczny zrobił się na twarzy po prostu zielony, a nie siny.

– Pomoc domową stać na coś takiego? – jęknął, kiedy wbiło go w fotel.

– Co do pomocy domowej, to nie wiem – mruknęłam. – Ale Home Disaster Manager tak.

Wzięłam driftem zakręt i zobaczyłam uśmiechniętego policjanta. Machnął lizakiem i zaprosił nas na pobocze.

– A gdzie się pani tak spieszy? – zagadnął przyjaźnie. – To przekroczenie prędkości o pięćdziesiąt dwa kilometry. Tutaj jest ograniczenie do trzydziestu... O, dzień dobry, panie aspirancie.

– Czy wy zupełnie powariowaliście?! – wściekł się Konieczny. – Mówicie, że nie ma wolnych radiowozów, a wy w krzakach sobie siedzicie?

– To akcja Bezpieczny Kierowca, zaplanowana już w marcu – tłumaczył się policjant. – Wszystkie siły...

– A znacie inspektora Wąskiego? Wiecie, jakie on ma siły?

– Nie. – Policjant wyraźnie zbladł. – To znaczy tak. Inspektor Wąski to legenda.

– No to chcecie, żeby zajął się waszą akcją? Nie chcecie. Wiecie, co mówi inspektor Wąski, kiedy policjanci łowią naiwnych po krzakach, zamiast brać udział w rozwiązywaniu sprawy morderstwa i szukaniu winnego?

Policjant pokręcił głową.

– I nie chcecie się dowiedzieć – zakończył Konieczny złowieszczo.

Ruszyłam. Aspirant uśmiechnął się triumfalnie.

– Co by powiedział inspektor Wąski? – zainteresowałam się.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Może kazałby ich zamknąć – zgadywałam.

– Bardzo możliwe – uznał Konieczny.

Kocham te małe sklepiki, w których można dostać mydło i powidło, a jedyny sklepik w Myszajnach był właśnie taki. Na wielkich starych regałach leżały obok siebie nawozy sztuczne i sery, z boku, oparte o ścianę, stały łopaty, na kolejnych półkach tkwiły nasiona i gumiaki, a z drugiej strony ustawione były beczki z kiszonkami. Kupujących oddzielała od tych skarbów wielka lada, za którą królowała sklepowa – Mariola. Jej imienia nietrudno było się domyślić, bo sklep nosił nazwę „U Marioli”.

Powitała nas zaciętą miną zarezerwowaną dla klientów, ale kiedy zobaczyła Koniecznego, wyskoczyła zza lady. Co było wyczynem przy jej gabarytach.

– Czekałam na pana cały czas – zaczęła, ignorując fakt, że Konieczny nie przyszedł sam. – Tak sobie myślałam, czy pan tu zajdzie, panie aspirancie. Bo to taka straszna tragedia, przecież mógł sobie pan Walenty, niech mu ziemia lekka będzie, jeszcze pożyć. Młody był, zdrowy, a tu taka historia, morderstwo.

– Skąd pani wie? – Konieczny zmarszczył brwi. – Dopiero wyjaśniamy sprawę.

– Oj tam, wieści u nas szybko się rozchodzą, panie aspirancie. Wiem, że biedaka zabili. A bo to ja się wczoraj

urodziłam?

– Zabili? – podchwycił Konieczny. – Uważa pani, że morderców było kilku?

– A bo to ja się na ludziach nie znam? Wiem, kto tu u mnie te orzeszki kupował i po co. Głupia nie jestem.

– No to niech pani opowie – westchnął Konieczny. – Tylko od początku.

– No przecież od początku opowiadam, panie aspirancie. Najpierw to przyjechała ta aktorka, taka znana, z serialu Kolejne losy. Ja tego nie oglądałam, bo w tym samym czasie leci tru krajm, ale koleżanki owszem i chwałą.

– To ta? – upewnił się Konieczny, pokazując sklepowej zdjęcie Soni na komórce.

– Ta sama. – Mariola ledwie zerknęła na fotkę. – Taka sławna, to pewnie będzie chciała kupić coś wykwintnego, myślę sobie. Może pan uważa, panie aspirancie, że my tu na wsi mieszkamy i świata nie widzimy, ale u nas też bywają znani ludzie, na przykład poseł Uważny zachodził czasami, ale on to normalnie, jak każdy, piwo kupował i przed sklepem pił. Mówił, że wyborców obserwuje.

– A ta Sonia...

– Mówię przecież. Przyszła, stanęła i się gapi. Widać, że przyzwyczajona, żeby w samoobsługowym kupować. Ale u nas samoobsługowy się nie sprawdza, panie aspirancie, wszystko by rozkradli. Wreszcie pytam jej, czy coś podać, a ona się pyta, czy mam orzeszki. Co mam nie mieć. Solone, prażone, ale ona chciała ziemne. I koniecznie firmy „Orzech do zgryzienia”. A ta firma robi orzeszki drogie jak nieszczęście, kto by to u nas kupował. Ale tak się szczęśliwie złożyło, panie aspirancie, że nie dalej jak kilka dni temu pan Walenty, niech mu ziemia lekką będzie,

sam...

– Kupił orzeszki ziemne? – upewniłam się.

Mariola obrzuciła mnie spojrzeniem zarezerwowanym dla morderców dzieci oraz dla tych, którzy przerywają sklepowym w połowie zdania.

– Nie kupił, bo nie miałam, skąd miałam mieć. Ale obiecałam, że sprowadzę z hurtowni i będą następnego dnia. Cały karton musiałam wziąć. „Orzech do zgryzienia” właśnie. A on nigdy po te orzeszki nie przyjechał. Martwiłam się, kto to kupi, bo u nas ludzie to nie wydadzą tyle pieniędzy.

– No dobrze. – Postanowiłam wrócić do głównego wątku opowieści. – A co z panią Sonią? Wzięła orzeszki i wyszła?

Gdyby spojrzenie Marioli mogło zabijać, Konieczny musiałby prowadzić sprawę dwóch morderstw.

– A co miała nie wyjść! – prychnęła. – Jeszcze tylko zapytała, czy tym tam blikiem, czy jak mu tam, może zapłacić. Powiedziałam, że u mnie pieniędzmi się płaci, to zaczęła szukać i wtedy weszły te dwa cudaki.

– Panowie Lewy i Maciąg? – zapytał Konieczny. – Rozpoznaje ich pani na zdjęciu?

Wyświetlił kolejną fotografię na komórce.

– Mówię przecież, że identycznie ci sami – przytaknęła Mariola. – Ale ta aktorka tak się spłoszyła, jak ich zobaczyła, jakby w filmie grała. Orzeszki zaraz wsadziła do kieszeni. Jak ja kiedyś moją córcię nakryłam, jak fajki kupowała, to ona wtedy te fajki też buch! do kieszeni. Myślała, że się nie zorientuję, ale zobaczyłam i dupę sprąłam, bo co sobie gówniara wyobraża.

– A panowie co kupili? – spytałam.

Tym razem spojrzenie Marioli nie tylko by mnie zabiło,

ale też spopielilo i zaklad pogrzebowy nie mialby nic do roboty.

– Gadali jak potluczeni. – Pokrecila glową. – Ze moze kupia smietanki, moze wafelka. A jak ta aktorka sobie poszla, to ten mlodszy wyszedl na dwor, sprawdzic, czy nie wróci. A starszy wtedy szeptem poprosil o te orzeszki, dal dwie dychy i mowi, ze reszty nie trzeba, no i do aktówki zapakowal. I woła do tego drugiego, ze juz idzie do auta. A tamten mowi: „Igor ku, zaraz przyjde, tylko kupie papierosy”.

– I kupil je? – zainteresowal sie Konieczny.

– A gdzie tam, ten tez wzial orzeszki i schowal. Wtedy pomyslam, ze oni wszyscy sa pomyleni. Bo niech pan sam powie. Po co kazdy ma orzeszki kupowac?

Konieczny uznal to pytanie za retoryczne.

– A potem ktos jeszcze u pani byl? Poznaje pani tych ludzi ze zdjecia? – Podsunal Marioli kolejno fotki Zofii, prezes Jelonek, Malwiny, Surmacza i Sterlinga.

– No, pani Zofia to czesto u nas bywa. Ale dziwne, bo nigdy wczesniej nie pytala o orzeszki. Dopiero teraz, niedawno. A ta mloda, to tez ja gdzieś widzialam w telewizorze. – Zastanowila sie. – Byla tu, a jakze. Weszla i po prostu zapytala, czy sa orzeszki ziemne, zaplacila banknotem jak normalny czlowiek i wyszla. A nie, nie tak od razu. Kupila jeszcze suszarkę do wlosow, co mi tu od dziewięćdziesiątego ósmego lezala i nikt jej nie chcial. Tez zaplacila banknotem. Za to ta starsza to zrobila cyrk, panie aspirancie. Najpierw mnie pouczyła, ze powinnam odmalowac sciany.

Ścianom rzeczywiście przydaloby sie malowanie. Ostatni raz pokryte zostaly gdzieś w latach dziewięćdziesiątych

kolorem majtkowy róż, który na szczęście zdążył już nieco zblaknąć.

– Kupiła te orzeszki czy nie? – przerwał jej Konieczny.

– Jeszcze się rozejrzała, poniuchała i stwierdziła, że pachnie jej brzydko kapustą. Paniusi zapach w moim sklepie się nie podobał. No da pan wiarę?

– A potem poprosiła o orzeszki?

– Dojdę do tego – przystopowała go Mariola. – I mówi mi ta paniusia, że w sposób niehigieniczny przechowuję ryby, że niby w wiadrze.

– Orzeszki!

– No mówię przecież. – Mariola wzruszyła ramionami. – Poprosiła orzeszki, to jej dałam, ale że taka była z niej wydra, to mówię, że kosztują trzydzieści siedem złotych, a nie siedemnaście. A ona po prostu zapłaciła. I ten młody... – Mariola wskazała na zdjęcie Surmacza – ...też tu był. Tylko że dzień wcześniej. Nawet się zdziwiłam, bo zwykle wpadał tylko i łiski brał, a teraz te orzeszki, no ale oni tam powariowali, panie aspirancie. Więc ja panu mówię, że oni wszyscy tego biednego pana Walentego, niech mu ziemia lekką będzie, razem ukatrupili.

– Niech mi pani powie, pani Lucjo... – Koniecznego naszła filozoficzna refleksja – ...czy ludzie to już nie mogą się jakoś normalnie zabijać, nożem, pistoletem, no, ostatecznie samochodem potrącić?

Potraktowałam to pytanie jako retoryczne.

Mariola spojrzała jeszcze raz na zdjęcie Sterlinga.

– Tylko on jeden nie kupował. Nigdy go u mnie nie było. Pewnie miastowy jakiś, nie podoba mu się taki wiejski sklepik. Na zdjęciu źle mu z oczu patrzy. Ja znam się na ludziach, panie aspirancie, trzydzieści lat tu za ladą stoję.

Kiedy wyszliśmy ze sklepu, Konieczny westchnął ciężko.

– Tylko Sterling nie kupował...

– Nie musiał – powiedziałam. – Jeśli przyjechał, żeby zabić pana Tadeusza, wziął w tym celu nóż. I wydruk instrukcji z internetu. Normalnie, tak jak pan chciał. Za to w jego pokoju było puste opakowanie po orzeszkach...

Zamyśliłam się.

Rozdział 16

Home Disaster Manager otrzymuje najróżniejsze zlecenia. Wyprowadzałam już alpaki na spacer po lesie, zdejmowałam kotka z wysokiego drzewa i samodzielnie przygotowałam kolację dla czterdziestu osób. Ale nigdy nie robiłam terapii policjantowi. Zawsze jest jednak ten pierwszy raz.

Szezlong w salonie wyglądał na tak stary, że być może polegiwała na nim pani Walewska. Aktualnie jednak polegiwał na nim Konieczny, a ja siedziałam obok, zastanawiając się, czy wystawić komendzie rachunek za psychoterapię niezbędną do zakończenia śledztwa.

– Oni wszyscy mieli te cholerne orzeszki! – narzekał Konieczny. – A ja nie mam nawet laboratorium. Przecież każdy mógł je dosypać do bigosu, no każdy. A każdego nie aresztuję. Jak mam aresztować każdego? No jak?

– Jak pan się z tym czuje? – Bez trudu weszłam w nową rolę.

– Niepewnie. Ale ja nie jestem inspektorem Wąskim.

– Zazdrości mu pan?

– Bardzo – wyznał. – Mogę ich zamknąć, ale morderca i tak się nie przyzna. A gdyby zamknął ich Wąski, to zobaczyłaby pani, od razu by się przyznał.

– Czuje pan bezsilność?

– O tak – westchnął Konieczny.

– A co by panu przywróciło sprawczość? – indagowałam.

Doszłam do wniosku, że podoba mi się ta praca. Siedzę w wygodnym fotelu, gdybam sobie, rzucam pytania, kolejni ludzie na szezlongu gadają (nie muszę przecież tego

słuchać), a potem płacą.

– Musiałbym wiedzieć, kto zabił – jęknął. – Głowa mi pęka. A jeszcze jak sobie wyobrażam te tytuły w mediach... „Afera orzeszkowa, policja bezradna”. „Policjanci nie dali rady mafii orzeszkowej”.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do salonu wpadł Maciąg, a za nim Lewy.

Konieczny szybko zmienił pozycję na siedzącą i udawał, że tak się tylko pochylił, bo coś mu upadło.

– Panie policjancie, my naprawdę musimy... – zaczął Lewy.

– Poczekaj, Igor, ja powiem – przerwał mu Maciąg. – Panie policjancie, my naprawdę musimy wyjechać. Natychmiast. Czekają na nas obowiązki służbowe.

– Siadać. – Konieczny z marsową miną wstał z szeslonga. – Przy stole.

– Ano tak, usiądziemy, czemu nie – zgodził się Lewy.

Obaj posłusznie usiedli.

– Tylko że zaraz przyjdzie reszta – szepnął Maciąg. – Bo my wspólnie doszliśmy do wniosku, że czas już wyjechać.

– Wspólnie doszliście do wniosku. – Konieczny wziął się pod boki. – Może warto się wcześniej zapytać policji? Do jakich jeszcze wniosków doszliście wspólnie? Może: kogo aresztować?

– Właśnie zamierzałam zapytać. – Prezes Jelonek odchrząknęła w progę. Za jej plecami tłoczyli się pozostali. – Tadeusz raczej nie zmartwychwstanie, ślady zostały zebrane, nie ma sensu, żebyśmy tutaj siedzieli. Chyba że wie pan, kto jest mordercą. To wtedy proszę go aresztować i po krzyku.

– Siadać! – huknął Konieczny.

Prezes Jelonek otworzyła usta, potem je zamknęła, jeszcze raz otworzyła, po czym podeszła do stołu i przycupnęła na brzeżku krzesła. Goście, którzy wcześniej chowali się za jej plecami, stracili osłonę i musieli zrobić to samo.

Do salonu wpadła Zofia Montegabbione, z rozwianym włosom, w zwiewnej sukni.

– Co się tu dzieje? – krzyknęła sopranem. – Urządzacie tajne zebrania w moim domu?

Gdybyśmy chcieli takie zebranie zwołać, wsunęlibyśmy sobie pod drzwi pokojów karteczki z szyfrem. Ale nie powiedziałam tego, bo Konieczny znowu krzyknął:

– Siadać!

Zofia zakręciła się w kółko i usiadła.

Do salonu zajrzał Piotr Surmacz. Popatrzył na siedzących przy stole i na wkurzonego Koniecznego i stracił nawet ochotę do zaglądania mi w dekolt.

– To ja może też usiądę – powiedział cichutko i zajął wolne krzesło.

Konieczny zaczął krążyć po sali z założonymi do tyłu rękami.

– Zrekonstruowałem całą historię. Doskonale wiem, co się stało – zaczął. – Tadeusz Walenty chciał rzucić podejrzenie na jednego z was. Że ktoś dybie na jego życie. W tym celu zamówił w sklepie „U Marioli” w Myszolajnach...

– W Myszajnach – poprawiłam go.

– Dokładnie, w Myszajnach. Zamówił orzeszki. Ale nigdy ich nie odebrał. Za to kupiła je pani Zofia. Ale teraz ich nie ma, zostało jej tylko puste opakowanie.

– To nie pani Zofia ma pustą paczkę – poprawiłam go. –

To pan Sterling.

– Ja nie kupowałem żadnych orzeszków – zaprotestował Sterling.

– Pan za to miał nóż. I instrukcję, gdzie go wbić – usadził go Konieczny.

– A taki, wydawałoby się, kulturalny człowiek – westchnęła prezes Jelonek. – Świat schodzi na psy.

– Tadeusz Walenty wziął ode mnie pieniądze, a potem mydlił mi oczy.

– Pieniądze! – prychnęła prezes Jelonek.

– A ten ostatni pani serial to niby nie jest zrobiony dla pieniędzy? – spytał ironicznie Sterling.

– Mamy trzydzieści jeden procent oglądalności w grupie do czterdziestu dziewięciu lat – oznajmiła wyniośle Jelonek.

– Chciałbym przypomnieć, że mamy tu trupa. – Konieczny postukał kubkiem w stół. – To znaczy denata. Któremu ktoś dosypał orzeszków do bigosu.

– A według mnie Tadzio pomylił się i sam sobie dosypał – westchnął Lewy.

– Może chciał popełnić samobójstwo? – zamyślił się Maciąg.

– Wujco nigdy by tego nie zrobił – wyrwał się nagle Surmacz, który do tej pory siedział cicho. – Zawsze mówił: „Ja całą tę zgraję przeżyję”. To znaczy... przepraszam. – Zgarbił się na krześle.

– Tak się wyraził? O nas? Gościach? Jakie to gminne i bez polotu – oburzyła się prezes Jelonek.

– Cisza! – Konieczny walnął kubkiem w blat. – O czym to ja mówiłem? – zapytał mnie bezradnie.

– O morderstwie – podsunęłam mu.

– Jednych gubi miłość do *femme fatale*, a innych do bigosu – mruknął Lewy. – To był bigos *fatale*. Dobry tytuł. Zaklepuję.

– W takiej chwili żarty się pana trzymają. A biedny Tadeusz jeszcze nie ostygł – oburzyła się Sonia.

– Na pewno już ostygł – zauważył pragmatycznie Sterling.

– Proszę państwa, na tej sali jest morderca! – krzyknął Konieczny.

– Może nie wiedział, że Tadeusz jest uczulony? – zastanowiła się Sonia. – Ja coś słyszałam, ale niedokładnie.

– Ja też – przyznała Malwina. – Tyle się dzisiaj mówi o alergiach i nietolerancjach pokarmowych, że człowiek siłą rzeczy puszcza to trochę mimo uszu.

– Moja jedna ciotka miała alergię na koty – poinformował Maciąg. – Musiała oddać swojego persa, bo wciąż kichała.

Konieczny usiadł. Wyglądał, jakby za chwilę miał się załamać.

– Niech już przyjedzie inspektor Wąski i ich wszystkich pozamyka – westchnął. – Ja nie mam siły.

Dobrze go rozumiałam. Ale nie zamierzałam składać broni. W końcu to była sprawa osobista.

– Niech Władek przyprowadzi Wasiaka – szepnęłam Koniecznemu.

– Ma pani jakiś pomysł? – ożywił się. Wystukał coś na ekranie komórki.

Tymczasem towarzystwo przy stole zdążyło się podzielić na dwa obozy. Część uważała, że Tadeusz sam się zabił, na złość. Pozostali też twierdzili, że sam, tylko przez przypadek. Nikt się nawet nie obejrzał w stronę drzwi,

kiedy stanął w nich Władek z Wasiakiem.

– Wszyscy myśleliśmy, że orzeszki wrzucono do bigosu w kuchni – zaczęłam. Nie próbowałam nikogo przekrzyczeć, ale rozmowa przy stole natychmiast ucichła. – I, muszę przyznać, przez moment sama w to uwierzyłam. Zmyliło mnie, że wszyscy z państwa pojawili się, wcześniej lub później, w kuchni, kiedy gotowałam. I wszyscy państwo mieli motyw, żeby zabić pana Tadeusza. Pani Zofia była zazdrosna i nie chciała rozwodu, pan Marek miał z nim utarczki na tle finansowym, pani Sonia była zła, że odebrał jej rolę, pani Malwina bała się, że odbierze jej rolę, gdy dowie się o panu Marku, pan Igor chował dawną urazę dotyczącą scenariusza, pan Piotr miał żal do pana Tadeusza o komiks, a pan Henryk w ogóle chował mnóstwo uraz. A jeśli idzie o panią prezes Jelonek, była to grubsza sprawa, której szczegółów nie mogę państwu w tej chwili zdradzić.

Napotkałam wdzięczne spojrzenie prezes Jelonek. Wszyscy milczeli.

– Tak więc uznaliśmy, że morderca dorzucił orzeszki do bigosu w kuchni w czasie gotowania. I to – uniosłam palec – dowód, że nie należy wątpić w siebie. Bo przecież cały czas byłam wewnętrznie pewna, że gdyby ktokolwiek próbował majstrować w kuchni przy moich potrawach, na pewno bym to zauważyła! Podobnie gdyby ktoś próbował dodać coś do dań na stole. Bo przecież nie spuszczałam z nich oka.

– Więc jak to się stało – spytał Konieczny – że te cholerne orzeszki wylądowały w tym cholernym bigosie?

Wszyscy pozostali mieli to samo pytanie wypisane na twarzach. Wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby. Ale ja już wcześniej wiedziałam, kto jest mordercą.

– Był tylko jeden moment, kiedy spuściłam potrawy z oczu. Ten moment wykorzystał morderca. Ale zauważyła to jedna, jedyna osoba.

Wszyscy wlepili we mnie oczy.

– Ta, która spadła z drabiny.

– Ja spadłem z drabiny – powiedział Wasiak.

– No właśnie. – Skinęłam głową.

– I plecy jeszcze mnie bolą – westchnął płaczliwie.

– Wiem, dlaczego pan spadł z tej drabiny – powiedziałam. – Bo zamiast przykładać się do pracy, obserwował pan z góry pewną osobę. A konkretnie jej biust.

– Tylko pani żonie nie mówi – przeraził się Wasiak. – Bo mnie do domu nie wpuści.

Konieczny zastrzygł uszami.

– Widział pan mordercę? – huknął. – To znaczy morderczynię, bo jak biust... – Zreflektował się. – Niech pan mówi, bo jak inspektor Wąski pana dorwie, to już na pewno pan do żony nie wróci! – krzyknął znowu na Wasiaka.

Pokręciłam głową i spojrzałam na zegarek.

– Szybciej będzie, jak ja powiem. Tuż przed kolacją pan Wasiak zawieszał dekoracje w jadalni i stał na drabinie. Ja i pan Surmacz... – skinęłam głową w kierunku młodego człowieka, który poczerwieniał – ...trzymaliśmy drabinę. I wtedy do jadalni weszła pani Malwina. Przed pozostałymi gośćmi.

Malwina patrzyła na mnie bez słowa.

– Miała na sobie sukienkę, która zwróciła uwagę pana Wasiaka. A konkretnie uwagę zwrócił niemal całkowity brak sukienki na biuście pani Malwiny.

– Było na co popatrzeć – rozmarzył się Wasiak.

Zmierzyłam go ostrym spojrzeniem.

– Proszę pozwolić mi dokończyć. Pan Wasiak wykonał nieostrożny ruch i spadł z drabiny. Pan Surmacz... – znowu skinęłam głową, a Surmacz jeszcze bardziej poczerwieniał, chociaż wydawało się to niemożliwe – ...pan Surmacz i ja podnieśliśmy go z podłogi i obejrzeliśmy obrażenia. A w tym czasie pani Malwina dosypała orzeszki do bigosu.

– Inspektor Wąski... – zaczął Konieczny, ale podniosłam palec, więc umilkł.

– Pani Malwina uznała, że w tak dramatycznym momencie nikt tego nie zauważy. Nie doceniła jednak piękna swojego biustu. Pan Wasiak, mimo że bolały go plecy po upadku, nie odrywał od niego spojrzenia.

– Ani na chwilę – potwierdził Wasiak. – Tylko pani nie mówi żonie.

– I wszystko widział – zakończyłam.

– A potem ukryła puste opakowanie w pokoju pana Sterlinga! – wykrzyknął Konieczny.

Pozwoliłam mu cieszyć się triumfem przez kilka sekund, a potem powiedziałam:

– Nie.

– Jak to „nie”? – jęknął Konieczny. – Przecież sam je tam widziałem.

– W każdym razie nie do końca. Pani Malwina dała swoje orzeszki panu Wasiakowi, podobnie jak zrobiła to pani prezes Jelonek. Żeby zapewnić sobie alibi. Prawda? – spytałam Wasiaka.

Ten pokiwał głową.

– Dopiero potem wykradła paczkę pani Zofii, której szczególnie nie lubiła.

– Wydra – syknęła Zofia.

– Wsypana je do bigosu pana Tadeusza. Puste

opakowanie zapewne ukryła w dekolcie.

– Jest w czym. – Wasiak nadal marzył.

– Chciała je zapewne podrzucić pani Zofii, ale nie było okazji. A potem pan zaczął sprawdzać pokoje. I pani Malwina uznała, że najprościej jej będzie podrzucić opakowanie panu Markowi, skoro i tak spędzają razem tyle czasu.

Zapadła cisza. Konieczny patrzył na mnie błędnym wzrokiem.

– Skąd pani to wszystko wie? – spytał w końcu.

– Dedukcja, Watsonie – mruknęłam.

– Malwina? – spytała w końcu cicho Sonia. – Przecież była kochanką Tadeusza. To tej małpie dał rolę w reality show, a nie mnie...

– Tadeusz przysięgał, że nie była – zaprotestowała Zofia. – O zmarłych mówi się tylko dobrze – pouczyła Sonię.

– Oni wszyscy przysięgają – westchnęła prezes Jelonek.

– To właśnie jest „dobrze” – wyjaśnił jej Maciąg. – Tadeusz miał tyle lat, ile miał, a wciąż mógł. Nie każdy może w jego wieku.

– Prawdziwa morderczyni – sapnął z podziwem Lewy. – Chciałbym napisać scenariusz oparty na tych wydarzeniach. Zgodzi się pani? – Odwrócił się do Malwiny.

– Czemu nie – odparła Malwina. – Ale chcę mieć prawa.

– Spółka?

– Proszę przyjść z tym do mnie, podpiszemy umowę. – Prezes Jelonek pacnęła otwartą dłonią w stół. – To i tak ja decyduję, czy to pójdzie, czy nie.

Konieczny otarł czoło.

– Pani Malwino Car, jest pani aresztowana. Zabierzemy panią teraz na komendę...

– Tak, tak – przerwała mu Malwina, zajęta rozmową o interesach. – Wpadnę na tę komendę, oczywiście, jak tylko znajdę minutkę. – Spojrzała na Lewego. – Ale ja nie jestem jeszcze pewna, czy powierzę panu ten temat. Są inni scenarzyści...

– Ależ pani niezdecydowana – naburmuszył się Lewy. – Tak samo się pani wahała, czy zabić Tadeusza, czy pana Marka?

– Jak to? – przeraził się Sterling. – Kochanie, nie myślałaś chyba...

– Myślała – uświadomiłam go. – I nie tylko na myśleniu się skończyło. Przeprowadziła nawet próbę generalną. Kupiła w sklepie „U Marioli” suszarkę do włosów i wrzuciła ją do wanny, żeby zobaczyć, co się stanie. Pamiętają państwo, jak zgasło światło? Pani Malwina miała przy sobie drugą suszarkę, którą przywiozła z domu. I zamierzała z niej zrobić użytek, gdyby tylko się zdecydowała.

– Chciałaś porazić mnie suszarką? – oburzył się Sterling.

– Oj, każdemu może się zdarzyć chwila zwątpienia – zirytowała się Malwina.

– Ale dlaczego? – jęknęła Zofia Montegabbione. – Dlaczego zabiła pani właśnie mojego Tadzia?

– Bo nie mogłam się zdecydować – wyjaśniła po prostu Malwina – czy on, czy Marek. Prosiłam nawet panią Lucję, żeby pomogła mi podjąć tę decyzję, ale tylko namieszała mi w głowie.

No cóż, należało jej się to więzienie. Już chociażby za wątpienie w moje możliwości.

– Nie mogłam znieść tego ukrywania Marka przed Tadeuszem i Tadeusza przed Markiem. Musiałam się

pozbyć jednego z nich. A Tadeusz już przecież dał mi tę rolę. Martwy mi jej nie odbierze – zakończyła.

– Bardzo logicznie – przyznałam.

– Podwójna morderczyni! – rozpromienił się Lewy. – Pani Malwino, co mogę zrobić, żeby przekonać panią do współpracy?

Konieczny ukrył twarz w dłoniach.

– Ja się nie nadaję do tej roboty.

– Wyjeżdżam – obwieściłam cicho. – Jest już po północy.

Była prawie druga. Rozwiązywanie zagadek zbrodni to męczące zajęcie.

– Nie chce pani zaczekać na inspektora Wąskiego? Zobaczysz pani, on ich wszystkich...

– Mam bogatą wyobraźnię, widzę to w myślach – zapewniłam go.

Wyszłam po angielsku. Wrzuciłam walizkę do bagażnika mustanga. Przez otwarte drzwi słyszałam jeszcze rozmowy obecnych. Sonia zastanawiała się, czy zagrałaby Malwinę. Może powinnam była przynieść Koniecznemu trochę lodu na czoło przed wyjazdem?

Wcisnęłam gaz i ruszyłam.

Znowu weszłam driftem w zakręt i przekonałam się, że historia lubi się powtarzać. Dałam po hamulcach.

Policjant, który wyskoczył z krzaków tuż przed maską mustanga, ryzykował życie. Po ciemku omal go nie przejechałam.

Machnął, żebym zjechała na pobocze.

– Tym razem to już przekroczenie prędkości o pięćdziesiąt osiem kilometrów – ucieszył się.

– A wie pan, co powiedziałyby inspektor Wąski... – zaczęłam.

Zapewne powiedziałyby coś o pracy na nocnej zmianie. Ale nie miałam czasu tego przemyśleć. Zadzwoiła komórka. Myślałam, że to Konieczny, jednak wyświetlił mi się nieznany numer. Do tego z zagranicznym prefiksem. Australia.

– Pani Łucja Słotka?

– Lucja – poprawiłam, dając policjantowi znak, żeby poczekał chwilę z tym mandatem.

– Pani Łucjo. – Głos w słuchawce nie przyjął pomyłki do wiadomości. – Proszę dla mnie szybko kupić i wyremontować mieszkanie. Oczywiście w alei Róż, w Warszawie...

– Jakie ma być to mieszkanie? – zapytałam.

– Olbrzymie i oszłamiające – uściślił głos.

– I to już wszystko? – zapytałam.

– A, nie. W tym mieszkaniu ma się zebrać moja ukochana rodzina – dodał głos i wyczułam złośliwą satysfakcję. – Czy to zadanie pani nie przerasta?

W życiu nie słyszałam głupszego pytania. To było zadanie w sam raz dla Lucji Słotkiej, Home Disaster Manager.

KONIEC

Lucja Słotka powróci w tomie
Milioner, który napisał testamenty

Spis treści

Karta tytułowa	2
Strona redakcyjna	3
Rozdział 1	5
Rozdział 2	13
Rozdział 3	20
Rozdział 4	26
Rozdział 5	34
Rozdział 6	39
Rozdział 7	42
Rozdział 8	50
Rozdział 9	60
Rozdział 10	65
Rozdział 11	72
Rozdział 12	80
Rozdział 13	87
Rozdział 14	98
Rozdział 15	109
Rozdział 16	118